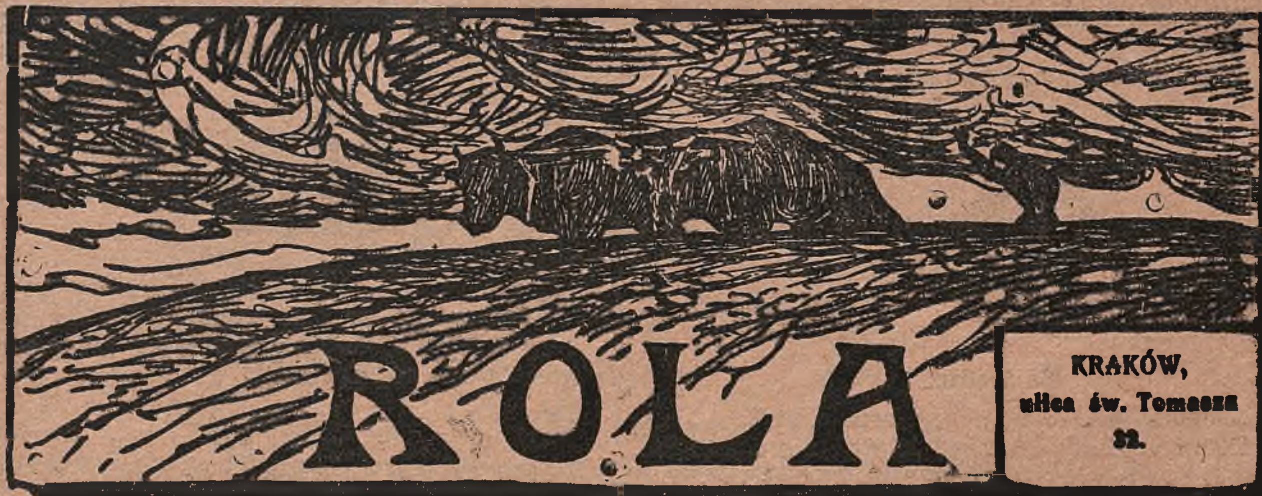
Numer 45. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 6 Listopada 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Mądry pies.

— Wiesz są takie psy, co są mędrsze od swego pana.

— Także nowość! Ja sam mam takiego psa.



Na drodze.

— A dobra tam dalej droga, gospodarzu?

— Dobra, ino tam dalej będzie taki mostek, co go brak.



Pan nie zna mego taty.

— Morycek, gdybym pożyczył od twego ojca 100 złotych i spłacał mu je miesięcznie po 10 złotych, to ile byłbym mu winien po sześciu miesiącach?

— Sto złotych.

— Widzę, że ty nie masz pojęcia o czterech działaniach.

— Nie, tylko pan profesor nie zna mego taty.

Nie pomogło.

— Panie aptekarzu, ten płyn na pluskwy jest do niczego! Wypiłem całą flaszkę, a bestje jak gryzły, tak gryzą!



Bliźnięta.

— Jak ty możesz teraz wytrzymać w domu?

— Głupstwo! Pierwszy wrzeszczy tak głośno, że drugiego wcale nie słychać!



Doktór C. poluje namiętnie, choć nieszczęśliwie. Na polowaniu z nagonką strzela gorliwie choć bez skutku.

Naganiacze krzyczą: Zając, zając.

Doktór mierzy, — strzela i pudłuje.

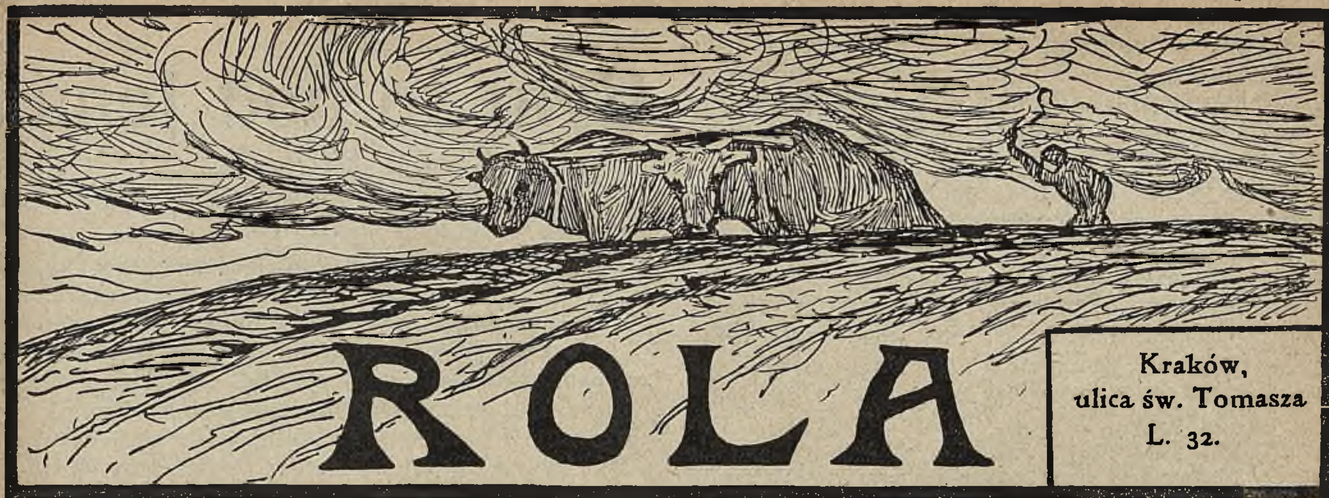
W kilka chwil później krzyk nagonki: przepiórka, przepiórka!

Doktór mierzy, strzela — i pudłuje.

Jeden z naganiaczy lituje się wreszcie nad pechowym myśliwcem i w chwili, gdy nagonka płoszy bażanta krzyczy: — Pacjent, pacjent!

Doktór mierzy, strzela i — utrupia bażanta na miejscu...

Numer 45. X. Rok Kraków, dnia 6 Listopada 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

O Bogu w przyrodzie.

Jak piękny wierszyk poety bywa jego modlitwą, czyli głosem z głębi duszy, tak rozmowa o Bogu w Przyrodzie jest modlitwą z głębi duszy przyrodnika. Modlitwę tę chcę Wam wyśpiewać mili Czytelnicy, na łamach Waszej dobrej »Roli« i proszę Boga, by dozwolił mi tę piękną arję myśli i uczuć oddać tak, jak wygląda naprawdę wśród marzeń i uniesień, wśród nocy o iskrzącem niebie, czy wśród zieleni lasu i w jego poszumie. Tam wszystko szemrze i modli się, za cud stworzenia, wiecznie podziwia swego Stwórcę, tak ptaszek w swym świergocie, jak drzewo w swym szumie, niebo w lazurze i gwiazdy w swym blasku. Wśród tych przyjaciół duszy, prędko się dowiesz, co to Bóg.

Lecz gdy zejdziesz w niziny, gdzie dymy fabryczne zatruły powietrze i spojrzysz na wyścigi za pieniądzem, gdy oglądniesz to życie szybkie, nerwowe, wilkiem patrzące oczy nieżyczliwe lub obłudne, gdy wysłuchasz skarg nędzarzy, co mrąc zwolna, wzdychają za grobem, albo przechwałek możnych tego świata, co dzieło rąk Stwórcy zagrabili i drakońskiem go prawem otoczyli, zrychła poznasz co to człowiek.

Poznasz, że w tej maszynie życia coś nie dobrze się kręci i będziesz myślał nad tem czy Bóg i człowiek, to harmonja zgrana? Jeżeli nie, to dlaczego? Gdy w samej przyrodzie znajdziesz ukojenie w cierpieniach, gdy stu nas wejdzie do tej świątyni Ducha i każdy swą cząstkę odnajdzie, to czemu się to dzieje, gdy wejdziesz wśród ludzi? Uczy religja, że Bóg jest wszechmiłosierdziem, wszechmiłością, że człowiek jest na obraz i podobieństwo boże, a czemuż wykonywa zbrodnie? Czemu jest chciwy i niesprawiedliwy, czemu chętniej krzywdzi niż nagradza, czemu jest zawistny? Czemu?

To „czemu", całą ławą będzie ci mózg tłoczyć, a w następstwie zaczniesz dochodzić od nitki do kłębka i przyglądniesz się Istocie bożej nietylko w ramach dogmatu, boć ojcowie Kościoła mówią, że wiara winna być rozumna, ale wybiegniesz dalej, wyżej, otrzesz się o brzeg szaty niemal, bo Stwórca takie dociekanie życzliwym okiem przyjmie.

Tedy przyglądnijmy się obaj, miły Czytelniku, tej Istocie bożej, skoro nam to wolno i zapytajmy się co to jest Bóg?

Wziąłeś w rękę garść piasku, przyglądałeś się tym ziarenkom, potem wziąłeś kwiat misternie wypracowany o pięknej woni i barwie, potem wziąłeś owoc miły dla oka, dobry dla smaku, zobaczyłeś rzekę toczącą wiecznie swe wody, w niej ryby żyjące, wesołe, widziałeś nasienie rzucane w ziemię, małe niepozorne z utajoną siłą życia, widziałeś i codzień widzisz, psa, kota, zająca, sarenkę, wszystko to się rusza niepojęcie, żyje, czuje. Streściwszy sumę wrażeń, powiesz: To jest dzieło, chyba wszechrozumu. Dlaczego? Dlatego, że żadnej z rzeczy oglądanej przezemnie, zrobićbym nie potrafił. Zatem z rzeczy stworzonych, które oglądać, dotykać i smakować możemy, wnioskujemy o rozumie, którego sami nie mamy, czyli o rozumie niepojęcie wyższym, idealnym.

Co rano widzimy wstające słońce, tę lampę życia i co wieczór zachód; tysiące gwiazd urokiem swym pociągające i od wieków niezachwianie krążące w przepaściach wieczności, przeto musimy powiedzieć, że te ruchy straszliwe nie są przypadkowe, ale obliczone, że wszechrozum sięgnął i tam w te bezmiary, zawiesił kolosy niezliczone i puścił je w wir regularny, wykluczający wszelką katastrofę. A ponieważ odległości tych kolosów wirujących są wprost bezmierne, mamy już drugie pojęcie: wszechobecności. Musimy tedy uznać, że wszechobecny Wszechrozum przenika sobą każdą rzecz stworzoną. Ale wyłania się jeszcze jedno pojęcie: nieskończoności, albowiem, poza systemem gwiezdnym jest jeszcze drugi, poza drugim trzeci i tak dalej. Ponieważ nieskończoność i wieczność, to wszystko jedno, przeto streściwszy się, powiemy: Bóg jestto nieskończony, wszechobecny, bezpostaciowy czyli niewidzialny, gdyż wypełniając sobą nieskończoność, musiałby w przeciwnym razie wszystko sobą zasłonić. Ale wyraz swej potęgi umieścił zato w dziełach i tym sposobem dał się nam poznać dokładniej, niżby to można było słowami określić.

Widzisz Czytelniku, że nie mędrkując zuchwale i nie sprzeciwiając się religji poznaliśmy Stwórcę o tyle, o ile On sam na to pozwala celowo, gdyż

przez to pragnie, abyśmy woli Majestatu poddali się i taki kierunek obrali, któryby zapewnił nam szczęście na ziemi i długi pogodny żywot. To jest jedna strona medalu, przeto z kolei rzeczy musimy oglądnąć i drugą stronę.

Gdyby dzieła świat i wszechświat wypełniające znalazły się skądś przypadkowo, musielibyśmy widzieć wśród nich chaos i zamieszanie, poprostu bezprawie. Tymczasem z ziarnka żyta wyrasta kłos żytni, z nasienia kłosu nie wyrasta wierzba, a gruszki rodzą się nie na wiśni. Jest porządek, gdyż wody zbierają się w miejscach na to przeznaczonych, lasy rosną gromadnie celowo, jest powietrze w swej gazowej mieszaninie ustosunkowane najlepiej, jest administracja rozumna, gdyż wszystko przerabia się na pożytek stworzeń i nic nie ginie marnie. Miljardy stworzeń podzielone na grupy dobrze ustosunkowane znachodzą właściwe pożywienie, bo wszak mądrze stworzonym został świat, wcale nie przeznaczony na zagładę, ale z rozkazu bożego rajem uczyniony.

Glob ziemski, rzucony w bezmiary wieczności, jest dobrą śpiżarnią i dzieje się na nim tak, aby się samodzielnie aprowizował, bo dowóz z innych światów jest wykluczony.

A gdzie jest porządek, gdzie administracja, gdzie jest ustosunkowanie, tam jednym słowem jest prawo. Przeto ta druga strona medalu pokazuje nam prawo związane z życiem na ziemi i od zachowania tego prawa zależnem się staje swobodne życie i szczęście. Z tego prawa wynika, że na globie ma być miejsce dla każdego i odpowiednie pożywienie, właściwy teren do życia, jednym słowem wszystko, co życie to utrzymać jest właśnie w równowadze. W wolnej przyrodzie tak się dzieje, tylko w gospodarce „pana“ stworzenia, tak się już nie dzieje. A dlaczego? Wielu, wielu myślicieli nad tem zastanawiało się; powstały systemy najrozmaitsze, nawet wojny. Jedni drugich brali pod jarzmo, odbierano sobie wzajem wszystko, na nędzy jednego rósł dobrobyt drugiego, krzywda, poniżenie, niewola, łzy. Nastąpiło zamącenie harmonji, wynikające z niezachowania prawa rządzącego rodzajem ludzkim, ot cała rzecz!

A dlaczego się to dzieje właśnie u człowieka szczycącego się wiecznie swym rozumem i swoją nieśmiertelną duszą, a nie dzieje się w wolnej przyrodzie wśród bezrozumnych stworzeń?

Bo między człowiekiem a zwierzęciem są różnice wynikające również z prawa bożego. A jakie? Fizycznych nie ma żadnych, bo, aby żyć trzeba jeść, spać, ruszać się, trzeba... i trzeba... zatem tu jest równość.

Ale z prawa bożego wynikają inne różnice: Oto zwierzę nie może zrobić źle, nie może jeść pokarmów niewłaściwych, głodu nie zazna, ale też miarki nie przebierze. Musi tak robić jak mu natura każe, gdyż ma wolę nagiętą do instynktów. A człowiek posiada rozum dający się rozwijać i wolną wolę, zatem może robić co mu się podoba, tylko, że za tę wolną wolę musi ponosić odpowiedzialność wobec tegoż prawa. A prawo Przyrody jest srogie, nieubłagane i ściga ludzi ze stalową wytrwałością, o czem w następnej pogawędce będziem rozprawiali.

Ludwik St. Unsing.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

VI.

Ale tego dnia nie dojechałem do Puław. Najprzód było za daleko, a potem pod wieczór zerwała się silna burza z grzmotami, błyskawicami i deszczem ulewnym, tak, że musieliśmy się zatrzymać na noc w jakiejś wiosce.

Nazajutrz, po nocy burzliwej, dzień był piękny i słoneczny. Puściliśmy się dalej w drogę i koło południa zbliżyliśmy się do Puław. Grześ, który kilkakrotnie oglądał się czegoś za siebie, rzecze:

— Paniczu, ktoś za nami jadzie.

— A niech sobie jedzie. Cóż ciebie to obchodzi?

— Ba! Kiej to jakieś wielgie państwo. O! nawet jakiś konny nas dogania...

Obejrzałem się i widzę za sobą, w odległości paruset kroków, strojny powóz, zaprzężony w czwórkę bułanków w krakowskich chomątach, a w powozie jakieś damy, jasno ubrane, osłaniające się białemi parasolkami od palących promieni słońca południowego. Koło powozu kręciło się wierzchem trzech mężczyzn na dzielnych koniach. Jeden z tych mężczyzn oderwał się od gromady i wyciągniętym kłusem puścił się ku mnie.

— Chyba stanę — rzkł Grześ — bo mi się widzi, że to Prusaki, i nie trza, żeby myśleli, co my uciekamy.

— Pleciesz! Skądżeby znowu Prusaki? Jedź dalej!

Niebawem jeździec dognał do nas. Skłonił mi się grzecznie i rzecze:

— Przepraszam waćpana, że go zatrzymuję na drodze, ale tam jedzie księżna Wirtemberska z panną Baydele i radaby się dowiedzieć, kto jest tym nowym gościem, łaskawie do Puław się udającym. Ale... do licha! ja pana skądś znam.

— I mnie się tak zdaje. Z kim-że mam honor? — zapytałem.

— Jestem Leon Dembowski...

— Leoś! — zerwałem się z bryczki. — Bóg mi cię zesłał. Jakże to, nie poznajesz mię?

— Juścić znam cię skądś... ale kto, dolibóg, nie mogę sobie przypomnieć.

— Józef Rudnicki.

— Józek!... Prawda!... Bodajże cię! A cóż ty tu robisz? Do Puław jedziesz?

— Do Puław.

— To dobrze robisz! Pysznie się, powiadam, zabawić tu można, nie tak, jak w Warszawie. Ale... jedź-że sobie, ja skoczę tylko do księżnej Wirtemberskiej i powiem jej, jakiego mamy gościa.

Zawrócił i pogalopował do powozu, który tymczasem zbliżył się znacznie do nas.

— Jedź, Grzesiu — rzekłem — tylko wolno. Gdyby nas powóz dogonił, zjedź na bok i stań.

Niebawem powrócił do mnie Leoś Dembowski i rzekł:

— Przepuść, Józek, księżnę... Bardzo rada jest z twego przybycia, a dlaczgo, zaraz ci powiem. Jak księżna przejedzie, zlezę z konia, przysiądę się do ciebie i ruszymy do mojej kwatery. Wszak u mnie staniesz?

— Z całego serca. Gdyby nie ty, nie wiedziałbym, gdzie się obrócić.

Tymczasem nadjechał powóz księżnej. Zerwałem się, stanąłem na bryczce i z wielkiem uszanowaniem ukłoniłem się dostojnej damie.

— Radzi waćpana powitamy w Puławach. Książę Czartoryski bardzo się ucieszy, gdy zobaczy towarzysza księcia Józefa Poniatowskiego. Mam nadzieję, że pana Rudnickiego ujrzę dziś na pokojach.

— Stawię się na rozkazy księżnej pani.

— A więc... do widzenia!

Uśmiechnęła się wdzięcznie, skinęła głową i powóz jej potoczył się dalej. Gdyśmy zostali sami, Dembowski zlazł ze swego konia, przywiązał go z tyłu do bryczki i gdy usiadł obok mnie, zaraz zapytał:

— Na długo przyjechałeś do Puław?

— Ja do Puław wcale nie jadę... Ja tylko przejeżdżam przez Puławy.

— Tak? A dokądże ty jedziesz?

— Do legjonów.

Leoś Dembowski ogromnie się zdziwił i powtarzał:

— Do legjonów! do legjonów! Bój się Boga, skądże ci to znowu przyszło? Co się stało? Ty, nosząc mundur przyjacielski księcia Józefa, do legjonów jedziesz? Niesłychana rzecz!

Opowiedziałem mu tędy wszystko, co mnie w ostatnich dniach spotkało. Z powodu zadziwienia się Dembowskiego, że ja, należący do partji księcia Józefa i noszący jego „mundur przyjacielski", wstępuję do legjonów, zauważyłem, że w partji tej jest więcej myślących tak samo, jak ja, że sam książę Józef przy sposobności pokaże, czem jest i jakie ma przekonania. Dembowski słuchał tego w milczeniu, kiwał głową, wzdychał i zdawał się nie pojmować, jak człowiek przy zdrowych zmysłach, posiadający majątek, może się rzucać w takie awanturnicze przedsięwzięcie, jakiem wogóle była cała sprawa legjonów. Nie spierałem się o to, bo i na coby się to przydało? Wysłuchałem uwag Dembowskiego w milczeniu i, nie odpowiadając na nie wcale, tak dalej ciągnąłem:

— Bardzo się ucieszyłem, spotkawszy się z tobą na drodze, bo nie wiem, jakbym sobie dał radę w Puławach i jakim sposobem mógłbym się dostać do księcia Czartoryskiego. Teraz, mam nadzieję, ty mi to ułatwisz.

— Chętnie. Ale cóż ty chcesz od księcia?

— Chciałem go prosić, żeby mi dał jaki list lub pismo, które-by mię w podróży przez kraje cesarskie zabezpieczało od nagabywań władz austrjackich.

— Nikt cię tu pewnie nie zaczepi, ale... juścić lepiej mieć takie pismo, choć książę, o ile wiem, nie sprzyja legjonom. Bo i do czego to wszystko doprowadzi? W każdym razie muszę ci powinszować, żeś spotkał księżnę Wirtemberską i z nią się zapoznał. Ona jest trochę egzaltowana, uwielbia rycerskość i ona ci w tej sprawie dopomoże u księcia ojca.

— Mówiłeś mi, że księżna rada jest z mego przybycia. Dlaczegóż to?

— Ale bo...widzisz... to jest taka rzecz. Tylko, proszę, cię, zachowaj to w sekrecie, co ci powiem.

— Możesz liczyć na to. Umiem milczeć.

— Otóż to. Nie można powiedzieć, żeby księżna była rada wyłącznie z twego przybycia, boć ona cię nie zna i zapewne nigdy nie słyszała, czy jaki Józef Rudnicki istnieje na świecie. Ale w ogólności ona rada jest, gdy ktoś z osób nowych, nie bywających dotąd w Puławach, zjawi się tu niespodzianie.

— I dlaczegóż to?

—Dlatego... Tylko jeszcze raz proszę cię o sekret. Otóż, trzeba ci wiedzieć, że księżna, po rozstaniu się ze swym mężem osiadłszy w Puławach u rodziców, oddała się malarstwu i literaturze. Została autorką, ale ukrywa się z tem starannie i niewiele osób wie o tem. Napisała teraz romans po polsku p. t. „Malwina, czyli domyślność serca", romans bardzo piękny, czytuje go w dobranem kółku co wieczór, nie przyznając się do tego, że ona jest twórczynią romansu, ale, że jej tam ktoś przysłał rękopism. Powiadam ci, romans ten jest bardzo ciekawy i my się dziwimy wszyscy temu, że w języku polskim można oddać tyle uczuć delikatnych.

— Wszystko to pięknie, ale cóż to ma za związek ze mną i z mojem przybyciem? — spytałem.

— Taki ma związek, że, jak ci zapewne wiadomo, oddawna, jeszcze z czasów Rzeczypospolitej, istnieje nieprzyjaźń między książętami Czartoryskimi a Poniatowskimi. Ale teraz nie pora na kłótnie i spory i, jak mi się zdaje, Puławy chciałyby się zbliżyć do pałacu Pod Blachą... Przytem księżna Wirtemberska, choć niby ukrywa swoje autorstwo, ale, jak każdy autor, radaby, żeby o niej i jej dziele mówiono. A gdzież można zyskać sławę, jak nie w Warszawie? Prawda?

— Zapewne.

— Otóż widzisz... ogromnie się ucieszyła, gdy się dowiedziała, że jeden z tych, którzy noszą mundur przyjacielski księcia Józefa, przyjechał do Puław. Ma nadzieję, że, wróciwszy do Warszawy, będziesz gadał o tem, coś widział w Puławach, rozgłosisz jej sławę, jako autorki, i pośrednio przyczynisz się do pogodzenia zwaśnionych dwu rodów.

— Srodze się zawiedzie — odrzekłem na to — bo, jakem ci powiedział, ja ani myślę, ani mogę wracać do Warszawy.

— Prawda!... zapomniałem... legjony! Djabli ci tam z tymi legjonami! Wiesz, co ja ci poradzę?

— Cóż takiego?

— Porzuć ten zamiar, który, między nami mówiąc, jest po prostu warjacki. Czy ty myślisz, że z tych legjonów co dobrego dla nas wyniknie?

— Myślę, że tak.

— Otóż grubo się mylisz. My tu w Puławach mamy dobre i pewne wiadomości o tem wszystkiem, co się dzieje na świecie. Książę feldmarszałek obszerną korespondencję prowadzi z Wiedniem, Berlinem, Petersburgiem i Paryżem, i zawsze wie, jaki i skąd wiatr wieje. I powiadam ci, że on legjony uważa za szaleństwo.

— Tak, ale teraz zanosi się na wojnę.

— Z kim?

— Z Prusakami.

— A tak... słyszałem o tem. Ale książę feldmarszałek powiada, że jeszcze nic pewnego niema i Bonaparte może się pogodzić z regentem pruskim. Nic pewnego niema. Zresztą, co my będziemy o tem gadali! ot, wiesz, co ci powiem?

— Cóż takiego?

— Zostań u nas w Puławach. Nikt cię tu nie zaczepi, możesz sobie drwić z Prusaków i będziesz siedział, jak u Pana Boga za piecem.

— A cóż ja tu będę robił?

— A nic.

— I cudzy chleb jadł za darmo?

— Hm!... masz widzę jakąś przesadzoną, szlachecką ambicję. Alboż to my za darmo jemy tu chleb? Czyż nie przyczyniamy się do splendoru puławskiego? nie bawimy dam? nie spełniamy różnych obo-

wiązków i poleceń samego księcia? Ot niedawno posyłał on mnie do swych dóbr Międzyrzeckich, ażebym tam zarządził, iżby do Puław przysłano corocznie trzy tysiące kapłonów.

— Zaszczytna misja!

— Drwij sobie, ale zawsze misja i dość uciążliwa, bo deszcz lał, jak z cebra, i drogi były strasznie popsute. A zresztą, co to znaczy w Puławach jeden człowiek więcej? Nie bój się, nie zrujnujesz księcia Czartoryskiego.

Nic na to nie odrzekłem, bo i co było mówić? Między mojemi pojęciami a Dembowskiego leżała ogromna przestrzeń i zejść się nigdy nie mogliśmy. Ale ponieważ zależało mi w tej chwili na nim, więc milczałem, nie chcąc go dla siebie zniechęcać. On zaś ciągle rozprawiał, malując mi w pociągających barwach życie puławskie, oddane jedynie zabawom i rozrywkom. Opowiadał mi o wycieczkach na Kępę, o sielankowych zabawach w Marjankach, o teatrach amatorskich, o sztucznych ogniach, bitwach i tym podobnych pustych zajęciach, które wstręt we mnie budziły i wobec wzniosłego celu, jaki sobie założyłem, wydawały się czemś nieskończenie małem i mizernem. Gdy wreszcie Dembowski skończył, zapytał:

— No, i cóż ty na to?

— A nic.

— Zostaniesz w Puławach?

— Zobaczę... rozpatrzę się...

Dojeżdżaliśmy już do Puław i widać było zdala miedzią kryte dachy pałacu puławskiego. Dembowski mieszkał w jednej z bocznych oficyn i tam mię zaprowadził.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Do sielskiej Pieśni.



Jak nieuchwytna zwinna jaskółka,
Co ponad chatą pławi się w górze,
Z słodkim szczebiotem,
błyskawic lotem,
Kreśląc w błękitach gzygzaki, kółka,
Płyniesz o Pieśni w życia lazurze.

Twa nieuchwytna moc czarodziejska
Łagodzi smutek, tęsknotę, wzrusza...
Koi cierpienie —
Oświeca cienie —
Tęczowa blasków jasność anielska
I martwą przeszłość do życia zmusza.

Kogo otoczysz swoim ramieniem,
Szczęśliw żyć będzie w nieśmiertelności.
Na skrzydłach pieśni
Później czy wcześniej
Doleci w przyszłość będzie znamieniem
Minionych czasów — teraźniejszości.

Sielska ty nasza pieśni słowicza! —
Co nam tak cudnie dzwonisz dokoła
Z taką prostotą —
Na nutę złotą...
Jakżeś powabna, jakżeś dziewicza
Z białemi skrzydły Ducha-Anioła.

Tobie hymn głoszą ptaszęce chóry —
Pokłony biją kłosiste niwy —
Bzy, róże ronią
Obłędną wonią...
O Tobie bory, strumienie, góry,
Bają mi jakieś słoneczne dziwy...

Kto Cię ukochał sercem i duszą —
Temu życzeniem Tobie jest służyć.
Szczerze, wytrwale,
I w słów zapale
Co serc oziębłych opoki kruszą..
I w nieśmiertelność wciąż z Tobą dążyć.

Mikołaj Krawczyk.

Karjera meksykańskiego generała.

Meksyk podobnie jak Chiny, jest krajem generałów. Generałowie ci, występujący przeciwko rządowi i grupujący wokół siebie buntowniczo usposobionych żołnierzy, stoją jednak — podobnie jak niejeden z generałów chińskich — tak blisko bandytyzmu, że wcale im się nie wyrządza krzywdy, nazywając ich poprostu przywódcami band rozbójniczych, posiadającymi swe ambicje polityczne.

Typowym takim „generałem bandytów" był Emiliano Zapata, który niedawno padł trafiony kulą podczas walki z wojskami rządowemi. Ta śmierć żołnierska, ocaliła go przed szubienicą, na którą sobie stokrotnie zasłużył.

Zapata rozpoczął swą karjerę przed 26 laty, a nie z potrzeby, gdyż pochodził z zamożnej rodziny. Jego pierwszy występ bandycki jednakże się mu nie udał, gdyż młody Zapata został aresztowany. Ówczesny prezydent Meksyku, Porfirio Diaz, chcąc skutecznie walczyć z bandytyzmem, chwycił się bardzo rozsądnego środka. Powiedział sobie, że niema najmniejszego sensu żywić w więzieniu całą armję zdrowych i silnych mężczyzn, których możnaby było zużyć do pożyteczniejszych celów. Z tego założenia wychodząc, prezydent Diaz zarządził zorganizowanie specjalnych kompanij wojskowych, składających się z bandytów, odsiadujących swą karę w więzieniu. W oddziałach tych zaprowadzono żelazną dyscyplinę i starano się w ten sposób z byłych przestępców zrobić dobrych żołnierzy.

Emilian Zapata wcielony został również do szeregów. 15 lat służył w wojsku, a potem wraz ze swym zamożnym bratem zajął się gospodarstwem rolnem. Ale spokojne to zajęcie bynajmniej nie odpowiadało jego usposobieniu, wobec czego w mózgu jego rodzić się zaczęły najrozmaitsze, często wprost fantastyczne plany. Czuł się powołanym do odegrania roli wielkiego polityka i generała. Przez 5 lat bracia Zapata gromadzili broń i amunicję, dom swój zamienili na formalną twierdzę i kosztem wielkich nakładów pieniężnych sformowali oddział kawalerji, znanej później pod nazwą „legjonu śmierci".

Kiedy sędziwy prezydent Porfirio Diaz zmuszony był podczas rewolucji opuścić granice Meksyka, bracia Zapata wystąpili na widownię, oddając swój oddział ochotniczy do dyspozycji nowego prezydenta Medero. Nowy prezydent, choć wiedział znakomicie, z kim ma do czynienia, przyjął ofertę braci Zapata, wiedząc dobrze, że w przeciwnym razie oni swe usługi ofiarowaliby wrogom.

Działalność „legjonu śmierci" upamiętniła się wśród ludności południowego Meksyku. Gdzie przeszli legjoniści, tam kamień nie zostawał na kamieniu. Pod pozorem zaprowadzenia „porządku", Emiliano Zapata napadał na miasta, wsie i osady, a żołnierze jego rabowali całe mienie nieszczęśliwej ludności. W przeciągu dość krótkiego czasu legjoniści Zapaty splądrowali 19 miast, 35 wsi i 42 osady. „Atyla meksykański", jak go powszechnie nazywano, naśladował wiernie słynnych hiszpańskich „conquistadorów". Wieczne zamieszki w Meksyku sprzyjały wysoce jego działalności. Ostatnio miarka się jednak przebrała i władze meksykańskie postanowiły z „generałem" ostatecznie się rozprawić. Pod osłoną swych przyjaciół, a właściwie nieprzyjaciół rządu, udawało mu się zmylić czujność wojsk rządowych.

Przed niedawnym czasem Zapata został jednak okrążony i w bitwie zabity.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO.

Jak to już w poprzednim numerze »Roli« zaznaczyliśmy, po drugim rozbiorze Polski, który nastąpił 1793 roku, naród postanowił wyrwać się z pod przemocy wroga i iść o własnych siłach ku lepszej przyszłości. Ponieważ król Stanisław August Poniatowski był człowiekiem słabej woli i ponieważ podlegał wpływom Rosji, która za wszelką cenę dążyła do zniszczenia Polski, przeto naród musiał się oglądnąć za kimś innym, ktoby go poprowadził do zwycięstwa. Oczy wszystkich zwróciły się na zwycięzcę z pod Dubienki, Tadeusza Kościuszkę.

Kościuszko nie dał się prosić, gdy Ojczyzna potrzebowała jego pomocy. Wezwany przybył do Krakowa i tu na Rynku w dniu 24 marca 1794 roku złożył uroczystą przysięgę, że dopotąd broni z ręki nie wypuści, dopóki nie wypędzi wroga z ziemi ojczystej lub nie padnie pod ciosami nieprzyjaciół.



Ranny T. Kościuszko w niewoli rosyjskiej w Petersburgu 1796 r.

Kościuszko wiedział, że szlachta polska zniewieściała i rozbita na partje i partyjki nie podoła trudnemu zadaniu. Ale wiedział i o tem, że w ludzie wiejskim tkwi siła niespożyta, tylko trzeba w ludzie tym wykrzesać ogień zapału i wskazać mu cel, za który ma narażać się na rany a może i śmierć. Samo hasło miłości Ojczyzny nie wystarczało, gdyż lud ten był mało uświadomiany i w większości nie rozumiał, co to jest Ojczyzna i dlatego za nią należy w razie potrzeby nieść życie w ofierze. Dlatego też wybrał drogę inną, prowadzącą prędzej do celu. Wskazał mu korzyści bezpośrednie, obiecując solennie uwłaszczenie gruntów, a co za tem idzie, zniesienie gniotącej go pańszczyzny.



T. Kościuszko rok przed śmiercią 1816.

Lud wezwania Kościuszki usłuchał i częściowo z pobudek patrjotycznych, częściowo dla interesu osobistego stanął przy boku Naczelnika, który natychmiast poprowadził go na pole chwały. Do pierwszego starcia z nieprzyjacielem przyszło w dniu 4 kwietnia 1794 r. pod Racławicami, położonymi w dzisiejszem województwie kieleckiem. Słabe siły polskie nie byłyby dały rady przeważającym wojskom rosyjskim. Ale bitwę rozstrzygnęły siła i zapał chłopa polskiego. Dzielni Krakusi pod wodzą Wojciecha Bartosa, który później otrzymał nazwisko Głowackiego, rzucili się z kosami na armaty moskiewskie i rozbili w puch armję nieprzyjacielską. Otucha wstąpiła w serca Polaków przepełnione nadzieją, że zdołają wreszcie wyrzucić wroga z granic Polski. Ale co zdziałał chłop polski, to popsuł magnat, książę Poniński.

Po wielu mniejszych i większych potyczkach, przeważnie zwycięskich dla oręża polskiego, nieprzyjaciel zaczął gromadzić większe siły w okolicach wsi Maciejowice. Kościuszko wiedział, że w otwartym boju nie zmoże przeważających sił wroga. Postanowił go zaskoczyć i tem zwyciężyć. Sam więc ruszył pod Maciejowicami przeciw wrogowi, a Ponińskiemu, który miał pod swymi rozkazami część wojsk polskich, polecił w oznaczonym czasie rzucić się na tyły nieprzyjeciela i wziętego w dwa ognie zgnębić ostatecznie. Ale Poniński nie usłuchał rozkazu. Głupia pycha uniosła go, wskutek której nie dał się podporządkować woli zwykłego szlachcica. Z rozmysłem nie przybył na czas, a wobec tego słabe siły Kościuszki nie dały rady przemocy wroga tembardziej, że Kościuszko ranny dostał się do niewoli rosyjskiej.

Na obrazku naszym widzimy Kościuszkę, spoczywającego na jakiejś otomance w więzieniu rosyjskiem w Petersburgu.

Tadeusz Kościuszko uwolniony wreszcie z więzienia rosyjskiego nie wrócił już więcej żywy do Polski, ale udał się do Szwajcarji i tam przebywał, świadcząc wiele dobrego dla swych rodaków i dla obcych.

Wielki Naczelnik narodu doczekał się na wygnaniu późnej starości, gdyż umarł, licząc 71 lat, a więc w roku 1817. W czasie wielkich wojen Napoleońskich trzymał się na uboczu, gdyż nie ufał Napoleonowi, żeby ten coś dobrego zechciał dla Polski uczynić.

Na drugim naszym obrazku widzimy portret, przedstawiający Kościuszkę w rok przed jego śmiercią.

Na wiadomość o zgonie powstała w Krakowie myśl, aby pamięć jego uczcić pomnikiem, jaki posia-



Mogiła Kościuszki po jej usypaniu w roku 1823.

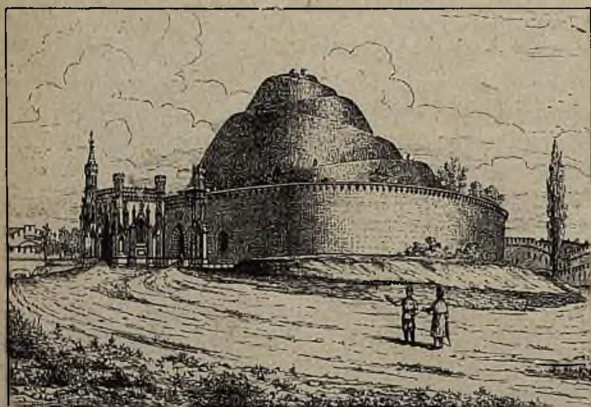
dali dotychczas tylko legendarni władcy polscy: Krakus i Wanda. Postanowiono usypać mu mogiłę pamiątkową na górze św. Bronisławy pod Krakowem.

Rzucona myśl znalazła powszechny oddźwięk wśród narodu polskiego. Wyznaczono miejsce i poczęto sypać mogiłę. Kto żył, spieszył na górę św. Bronisławy, aby tam w miarę sił swoich przyczynić się do wielkiego dzieła. Jedni taczkami, inni w połach surdutów, a jeszcze inni własnymi garściami znosili ziemię i tworzyli kopiec, widny zdala na zachód od Krakowa. Mogiła rosła, aż wyrosła taka, jaką widzimy na naszym obrazku. Tak ona wyglądała po jej ukończeniu w 1823 r.



Mogiła Kościuszki w roku 1846, po wzięciu Krakowa przez Austrjaków.

Było to za czasów Rzeczypospolitej Krakowskiej, gdy skrawek ziemi naszej, leżący po lewym brzegu



Mogiła Kościuszki z kaplicą św. Bronisławy w stanie dzisiejszym.

Wisły zachował przez czas niedługi swą niepodległość. Rodacy otaczali przez cały ten czas kopiec Kościuszki wielką opieką. Na następnym naszym obrazku widzimy, jak kopiec ten wyglądał w roku 1846, a więc w roku, w którym Rzeczpospolita Krakowska upadła i przeszła pod panowanie Austrjaków.

Nowi panowie Ziemi Krakowskiej nie zapomnieli o kopcu Kościuszki, ale postanowili go użyć do swych celów. Ponieważ góruje on nad całą okolicą, przeto stanowi bardzo dobry punkt obserwacyjny wrazie wojny. Dlatego rząd austrjacki ufortyfikował kopiec w sposób, jaki widzimy na ostatnim naszym obrazku.

Widać tam również po stronie lewej kaplicę św. Bronisławy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Mówi przysłowie „nie odrazu Kraków zbudowano“. Da się to najlepiej zastosować do nas, gdyż my na wsi chcielibyśmy, aby już odrazu każdy z nas był gospodarzem wzorowym, aby umiał sobie poradzić w każdym wypadku i osiągał największe korzyści. Tymczasem pracą, to jest ustawicznem czytaniem pożytecznych książek gospodarczych, artykułów z gazet rolniczych, dochodzi każdy z nas do zapasu pewnych wiadomości.

Weźmy naprzykład hodowlę bydła.

W żadnym kraju nie było odrazu uszlachetnionych zwierząt ani wyborowych pastwisk, hygienicznych stajen, ale to wszystko wytwarza powoli rozum ludzki, a hodowcy, idąc za światłą radą, dochodzą do zdumiewających rezultatów.

U nas hodowla bydła stoi bardzo nizko, gdyż rozwielmożniła się zasada, iż my nie mamy odpowiednich warunków. Tymczasem weźmy pod uwagę inny kraj n. p. Szwajcarję. Tam było znacznie gorzej, ale hodowcy zaczęli zapoznawać się z najważniejszemi zasadami hodowli, na które przedtem nie zwracali uwagi i dziś kroczy w szeregu krajów, posiadających najbardziej uszlachetnioną rasę zwierząt.

Gdybyśmy mieli najszlachetniejsze zwierzęta i dużo odpowiedniej paszy, to po latach rasa ta zostałaby zniszczona, może tylko utrzymała by się u tych gospodarzy, co obcują z wykształconymi rolnikami i czytają odpowiednie książki o hodowli szlachetnej rasy bydła.

My nie umiemy jeszcze pielęgnować lepszych zwierząt, umiemy narzucić im do żłobu siana lub innej paszy, wyrzucić nawóz, ale już odpowiednio go zużytkować nie każdy potrafi, umiemy wypędzić krowę na jałowe pastwisko, na którem rasowa krowa nie potrafi nawet z głodu skubać trawy, ale nie mamy znajomości najprostszych robót koło bydła rasowego, nie umiemy uzyskać możliwie największych korzyści, zaś jeżli ktoś powie, iż rasowa krowa na jeden udoj może dać 25 l. mleka, uważamy za bajkę i wzruszamy na to litościwie ramionami, gdyż to uważamy w naszych warunkach za niemożliwość. Gdy dopiero zaczniemy czytać i wprowadzać powoli w czyn przeczytane zasady hodowli, przekonujemy się, iż korzyści nasze z bydła powiększą się podwójnie i potrójnie, wtedy dziwimy się, jakimi bylimy analfabetami w tej dziedzinie. Powoli zaczną wtedy znikać u nas nasze słynne zmizerowane i mało użyteczne zwierzęta —

znajdziemy fudusze na poprawę naszych łąk i pastwisk, zyskamy dużo większe zapasy dobrej paszy i wytworzymy sobie odpowiednią rasę naszą krajową, która przynosić nam będzie duże korzyści.

Najważniejszą rzeczą powinno być zaznajomienie się ze szczegółami życia zwierząt. Te sprawy można poznać tylko przez gruntowne studjowanie obszernych książek hodowlanych, opisujących dokładnie pewne zjawiska z życia zwierząt. Pamiętać należy, iż zwierzę to jakby maszyna złożona z mnóstwa różnych kół i kółeczek i śrubek, gdzie każda śrubka spełnia swoje zadanie dla utrzymania całości, a gospodarz powinien być doskonale obznajomiony z tą, że tak powiem cudowną maszyną, i powinien umieć ją nietylko obsłużyć, ale i wyciągnąć z niej jaknajwiększe korzyści. Aby zwierzę żyło i rozwijało się, musi pobierać pokarmy. Każdy pokarm, choć tego nie widzimy gołem okiem, składa się z różnych części, z których jedne służą do tworzenia się mięsa, inne tłuszczu, ciepła, kości, i t. d. Te składniki pokarmów, na które się musi rozłożyć karma, są w różnej ilości. Pobrany pokarm zostaje więc najpierw w pysku rozmiażdżony i obśliniony, poczem przechodzi do żołądka, tam przemieniony w gęstą papkę przechodzi do kiszek, które wysysają potrzebne soki i te doprowadzają do krwi, zaś niezużyte, nierozpuszczalne cząstki pokarmu wydzielają z kiszek jako stałe odchody. Co przejdzie do krwi, mówimy, że zostało strawione. Krew rozprowadza po całem ciele cząstki zabrane z pokarmu i dostarcza materjału do budowy mięsa, kości, tłuszczu, mleka, skóry, włosów i t. d., zabiera zaś zużyte cząstki ciała i oddaje przez nerki jako mocz. Zwierzęta posiadają różną siłę trawienia. Dobra woda i ruch zwierzęcia przyczyniają się do lepszego brania pokarmów.

Oprócz odchodów stałych i płynnych, odchodzą z ciała zwierząt różne wydzieliny przez płuca i skórę.

Gdy nie dostarczamy odpowiedniej karmy zwierzęciu, krew ubożeje, ciało wskutek tego niszczeje, zwierzę chudnie, nie rośnie, nie daje mleka i może zginąć. To samo dzieje się, gdy zwierzę pracuje nad siły, gdyż cząstki jego ciała przez pracę ulegają zniszczeniu. Gdy ruch jest mały, to zwierzę nie dużo traci, i za pomocą odpowiedniej karmy ubytek może być wyrównany, lecz gdy praca jest ciężką, ciało zwierzęcia traci tyle swych cząstek, że spada z ciała, zaś chcąc odnowić ubytek, musi spocząć i spożyć odpowiednią ilość pokarmu.

Młode zwierzęta za wcześnie użyte do pracy przestają róść i pozostają na całe życie słabo rozwinięte.

Na starość siła trawienia u zwierząt słabnie. Wskutek tego słabnie siła mięśni i kości i t. d.

Tylko zwierzęta, które przyszły zdrowe na świat i dobrze rozwinęły się za młodu t. j., które były odpowiednio pielęgnowane i żywione, dłużej zachowują potrzebne siły trawienia i co za tem idzie żyją zdrowo, długo i przynoszą pożytek swemu właścicielowi.

Jan Matysik.



Duszy ludzkiej...

Kiedy świat życie upodli ci wzgardą
Za miłość odda ci słów gorzkich czarę —
Ty nie bądź podłą, zamkniętą ni hardą!
Lecz krocz wciąż naprzód ze swojem sztandarem;

Miłości bratniej, zgody — przebaczenia
Co się w pokorze czystej duszy jawi.
I nie porzucaj krwawego brzemienia,
Który łzy twoje w smutku nieraz krwawi.

Paweł Kubisz.

KLEMENS JUNOSZA.

Abraham Pinkt i Mateusz Sikora.

Żyd się skrzywił, lecz z targu był kontent.

Koguciński przyniósł z komory skórki; obliczyli, ile za wszystkie razem wypada, przy czem nie obeszło się bez sprzeczek, ale ostatecznie doszli do ładu.

— No, Bogu dzięki, już! — rzekł Abram — teraz będę mógł spokojnie iść do domu.

— A, jeszcze nie...

— Dlaczego?... Przecież wam za wszystko zapłaciłem co do grosza...

— Należy się jeszcze za gęś.

— Co?... albo ja u was kupowałem kiedy gęś?...

— Wszystko jedno... zadusiliście mi jedną tam w dole.

— Wstydźcie się, panie Koguciński, takie głupstwa powiadać... Gdzie w tem rozum, myśl? Aj, jaką ciężką głowę macie! Wam się należy za gęś, którą miał zjeść wilk... Gdyby ją zjadł istotnie, czy zapłacił-by za nią?...

— Zdjąłbym z niego skórę.

— To nie jest moneta.

— Ja z was też zdejmę kapotę, skoro pieniędzy dać nie chcecie.

Koguciński spojrzał przytem tak ponuro i groźnie, że Abram cofnął się przestraszony.

— Ej, stary! — odezwała się baba — tylko Abrama nie strasz.

— Niech zapłaci za gęś.

Wywiązała się długa dyskusja, a w końcu stanęło na tem, że Abram tylko czwartą część wartości gęsi zapłaci — chociaż i to wydało mu się bardzo niesłusznem i nieuzasadnionem.

— Jakże z tymi koralami? — zapytała Kogucińska.

— Oj, oj! jak pani chce. Kiedy pani będzie w miasteczku, to ja przyniosę i pokażę.

— Mam ja i dziś właśnie do zrobienia sprawunek — rzekła baba, a zwracając się do męża, dodała: — Zaprzęgnijno, stary, szkapę do sanek, to pojedziemy. Niema w domu soli, pieprzu też trzeba... różności....

Koguciński zaczął się drapać po czuprynie.

— No, czegóż stoisz? słyszysz, że soli niema w chałupie.

— Kiedy-bo, widzisz, bez pozwolenia od leśniczego nie mógłbym pojechać.

— To nie jedź.

— A jakże będzie?

— Pojadę sama z Abramem. On zdrożony, to będzie bardzo rad, że mu się okazja trafi.

Abram zerwał się z ławki.

— Pani Kogucińska! — zawołał — ja pani bardzo dziękuję za grzeczność, za łaskę... ale jechać z panią nie mogę.

— Dlaczego?

— Dlaczego? zaraz dlaczego... Nie mogę. Ja lubię bardzo chodzić na piechotę; moje nogi mają taką naturę, że jak się rozmachają, toby szły, szły, szły... choćby na sam koniec świata.

— Abram coś kręci.

— Wcale nie, broń Boże!... tylko ja powiem prawdę: ja zupełnie w inną stronę mam iść.

— A dokąd?

— Do Wólki.

— Możemy pojechać i przez Wólkę; pół milki w bok... nie koniec świata. Idź, Janie, zaprząż.

Koguciński roześmiał się głośno.

— Kobieto — rzekł, — ty Abrama nie namawiaj... on z tobą nie pojedzie. Nie wolno mu podług jego zakonu.

— Co?

— Niech sam powie.

— Owszem, dlaczego nie? Wolno... tylko trzeba, żeby z nami jeszcze kto jechał... nie wiele osób: pięć, trzy, choćby wreszcie jedna, byleśmy sami nie jechali... bo, widzi pani Kogucińska... niby tak we dwoje to nie pasuje...

— Chyba wyście, Abramie, owarjowali na starość... Co też wam do głowy przychodzi!... czy myślicie może, że ja się was boję? Koniec świata prawdziwie!... jak żyję, nic podobnego nie słyszałam...

— Niech się pani nie obraża, niech się pani nie gniewa... Pani wiadomo, że ja jestem stateczny żyd, stary człowiek i że mam w głowie same skórki; mnie też wiadomo, że pani Kogucińska jest kobieta stateczna, też już niemłoda....

— No, no... chyba mi Abram w zęby nie zaglądał...

— Aj, aj! o co się gniewać? Pani Kogucińska jest kobieta godna, porządna, a w tej chwili ma w głowie tylko trochę soli, trochę pieprzu i trochę korali... więcej nic. Oddzielnie to pani Kogucińska jest osoba, i ja też jestem osoba... ale w drodze to my potrzebujemy jeszcze jednej osoby... Niech Koguciński jedzie z nami.

— Mówiłem, że o pozwolenie trzeba prosić.

— To co? jechać na leśniczówkę i poprosić.

Koguciński spojrzał na żonę, a ta skinęła głową nieznacznie — poszedł więc konia zaprządz. Baba wybiegła do komory, aby się ubrać do drogi i pieniędzy wydobyć trochę z ukrycia. Abram, sam w izbie zostawszy, grzał ręce przy kominie i myślał.

Przedewszystkiem zastanawiał się nad kwestją, skąd dostać korali, po które Kogucińska jedzie, — bo te, o których jej opowiadał, istniały tylko w jego fantazji. Trzeba było czemś babę zainteresować, ułagodzić jej gniew, skłonić do zniżenia ceny skórek — więc Abram wykoncypował korale. Cóż teraz robić? Przedewszystkiem trzeba skorzystać z bezpłatnej furmanki i wygodnie pojechać do domu; w domu poprosić żony, żeby przepytała znajomych żydówek, czy która nie ma jakich korali na sprzedaż. Jeżeli znajdzie się taka, to dobrze — można będzie od jednej i od drugiej strony coś zarobić; jeżeli się nie znajdzie, to także dobrze. Abram powie, że właścicielka korali akurat na ten czas wyjechała na parę tygodni, a przez ten czas można będzie nietylko jeden sznur, ale choćby całą ćwierć używanych biżuteryj sprowadzić.

W najlepszej harmonji i zgodzie państwo Kogucińscy i Abram usadowili się w sankach i pojechali. Abram obliczał w duchu, ile na skórkach zarobi; baba marzyła o koralach, a Koguciński o osobliwej jakiejś wódce, do której zawsze miał pociąg.

Leśniczy, aczkolwiek z trudnością, pozwolenie udzielił, podróż odbyła się pomyślnie. Po dokładnem wybadaniu wszystkich niemal żydówek w miasteczku, pokazało się, że korali niema. Abram musiał opowiedzieć historję o niespodziewanym wyjeździe właścicielki.

Kogucińska wpadła w bardzo zły humor, ale Abram nie wzruszył się tem wcale. Od tego jest mąż — niech on cierpi.

V.

— Oj, Mateuszu, Mateuszu — mówił Abram wzdychając, — na świecie nie zawsze dobrze jest. Człowiek żyje, handluje, czasem trochę szachruje, zarobi albo straci... ma z tego kawałek chleba.

— Ha, jak na świecie. Każdy podług swojej kalkulacji.

— Nie do tego ja moją mowę prowadzę, Mateuszu, wcale nie do tego. Zarobić każdy, potrzebuje... tak czy owak... zapłacą mu lepiej, albo gorzej... to zwyczajna rzecz, na to jest świat, na to handel; ale czasem trafi się taki interes, co nie jest handlowy, a gorszy niż najgorszy handel.

— Nie wiem, o czem chcecie mówić.

— Moi kochani, narzekacie nieraz, że obrachunek z żydem jest ciężki; ale wierzcie mi, że sto razy cięższy jest rachunek z ludzką sprawiedliwością. Z żydem może być tylko kwestja o parę złotych, o parę rubli: wy mówicie, że dajmy na to, dziewięć... ja powiadam cztery; wy trochę opuścicie, ja cokolwiek postąpię... zgodzimy się na cztery i pół. Jest jedna kwestja tylko: wam chodzi o pieniądze i żydowi chodzi o pieniądze...więcej o nic. Z sądem wcale co innego. Spalił się żydowski dom... dlaczego nie miał się spalić? przecież nie jest ze szkła, tylko z drzewa, płaci się od niego fajerkasę, podatki. Spalił się... Kogo to ma obchodzić? Gospodarza. Tymczasem wdaje się w ten interes sąd. Pyta się... O co?... Wiadomo, że ogień to jest ogień, nieszczęście, zdarzenie, wypadek... prawda, Mateuszu?

— Juścić prawda.

— No, widzicie; a sąd powiada, że nie: że ogień nie jest wypadek, ani nie jest zdarzenie, tylko podpalenie... i zaraz gwałt, pisanie, sprawa, kryminał... cała awantura. Znaliście młodego Icka Kruka?

— Dyć znałem.

—Bardzo porządny żydek, krewny mój nawet; handlował sobie spokojnie solą, postronkami, smołą, olejem, naftą... zwyczajnie jak kupiec. Miał też połowę domu obok czarnego Berka. Było nieszczęście... ten dom się spalił, i dom, i smoła, i nafta, i postronki, i osiemnaście domów obok. Było niemało zmartwienia. Icek płakał, Ickowa mdlała, dzieci pochorowały się ze strachu. Czy to małe nieszczęście? Widać, że jeszcze za małe... bo przyszli dwaj strażnicy i zabrali Icka do kozy.

— A wiem, już chyba z półtra roku siedzi.

— Siedzi i jeszcze będzie siedział, i za co? Za to, że mu się dom spalił... za to, że Icek handlował olejem, smołą i naftą. Co w tem za grzech? Przecież nie każdy może handlować brylantami... Oj, to jest ładne życie, Mateuszu!

—I co z nim będzie?

— Nie wiadomo; sprawa jest w apelacji. Adwokat powiada, że Icek wygra.

— O!

— Wygra... to znaczy, że pójdzie na cztery lata do kryminału.

— No, więc przegra.

— Podług adwokackiego powiadania wygra: bo mógłby dostać wyrok na osiem lat, a tak będzie miał cztery lata w zysku. Taki młody, taki porządny żydek, co on już wycierpiał!

— Powiadają, że w kryminale źle nie jest.

— Jak dla kogo. Chłop taki, co potrzebuje na kawałek chleba siekierą pracować, albo łopatą, to ma w kryminale rajskie życie. Dostanie dobrze jeść, może leżeć cały dzień i nic nie robi. Ale żydek wcale co innego. On handlujący jest, musi się ruszać, jeździć,

myślenie mieć, rozmaite interesa prowadzić. Z kim je będzie w' takiem paskudnem miejscu prowadził? Każdy dzień to jest czysta strata. Po co te sądy wymyślili, ja nie wiem. Tylko na przykrość ludzką, na nieszczęście.

— Aj, mam i ja z nimi dosyć skrętu.

— Albo nie? W tej chwili pewnie wolelibyście spać, i jabym wolał spać. Jest noc, jest zimno, a my musimy siedzieć na saniach i wlec się do sądu, żeby rano już stać przed kratkami. Za co? Za to, że was posądzili o dąbek. Ja wiem, żeście go nie ukradli; wy powiadacie do mnie pod sekretem, żeście go wzięli, a sędzia będzie gadał, żeście go nie wzięli, tylko ukradli. Chciałbym ja kiedy na swoje stare lata zobaczyć taką sztukę, żeby kto czego nie wziął, a ukradł. Chybaby samo do niego przyszło... a w takim wypadku



Mateuszowa szkapa wlokła się powoli.

też nie byłaby kradzież, tylko przyjście. Dużo złego jest w świecie, Mateuszu, dużo krzywdy, niesprawiedliwości, przykrości.

Rzekłszy to, Abram westchnął kilka razy głęboko i jęknął, jak gdyby owe niesprawiedliwości ludzkie sprawiały mu ból fizyczny w głowie, w sercu, w wątrobie i we wszystkich kościach.

Było ciemno, droga wyboista, nierówna. Mateuszowa szkapa wlokła się powoli, a właściciel nie przynaglał jej do pośpiechu. Nie jadą przecież na wesele, tylko do sądu; a choćby człowiek był niewinny jak nowonarodzone dziecko, to także po wyrok nie pędzi jak szalony.

Kilku żydków, mających stwierdzić, że Mateusz czwartkową noc przepędził w miasteczku, odjechało pierwej na wynajętej furmance. Opuścili oni swe ogniska domowe jeszcze za dnia, gdyż mieli zamiar zrobić w okolicy kilka tranzakcyj na kury, jaja, masło i inne produkta gospodarskie. Abram z Mateuszem razem pojechał, bo mu tak było najdogodniej; przytem w drodze, po nocy, handlarz skórek bezpieczniejszym się czuł w towarzystwie swego generalnego dostawcy i przyjaciela.

— Co wam tak dolega, Mateuszu? — zapytał Abram. — Czy boicie się o sprawę? Wierzcie mi, że niema o co. Nie z takich interesów ludzie wychodzą... A może martwicie się, że tej zimy bardzo lasów pilnują? I to bajki... Ja wiem, że przed wami oni niewiele upilnują... Aj, ten koziołek, cośmy go temu trzy tygodnie przehandlowali, to był piękny kawałek zwierzyny! Na moje sumienie, śliczna sztuka... On pewnie z hrabiowskiego lasu pochodził?

— A juści.

— Wy jesteście cały mechanik, Mateuszu: na tyle gajowych, co tego lasu pilnują, potraficie...

— Ej, co tam!... żeby ich było dwa i trzy razy tyle, nicby mi nie zrobili, zresztą nie zabiłem koziołka w hrabiowskim lesie, ale na chłopskim gruncie pod lasem.

— Mój Mateuszu, skąd wyście mogli wiedzieć, że on tam jest?

Chłop się roześmiał.

— A skąd Abram wiedział, że u Kogucińskiego są skórki z tchórzów?

— Koguciński mi mówił, a wam koziołek nie mógł powiedzieć...

— Ja go też nie pytałem.

— Ciekawość, doprawdy, jak wy z tą zwierzyną radzić sobie umiecie! A może macie sposoby sekretne?

— Co o tem gadać... Człowiek zabiega i pracuje, jak umie, aby dalej, aby dalej, do śmierci...

— Fe, Mateuszu, wstydźcie się. Co wy macie za przyjemność ciągle tylko śmierć wspominać!... co w niej dobrego? Człowiek nie powinien tego słowa wymawiać, bo czasem można w złą godzinę... Wam się zdaje, że jak człowiek umrze, to mu już dobrze... Aj, Mateuszu, jemu wcale nie dobrze, bardzo nie dobrze; jemu przykro, on jest przestraszony, on cierpi, on się boi, on krzyczy.

— Bajki!... skoro umrze, to już nie cierpi; a jeżeli żył uczciwie i przykładnie, według przykazań Boskich, jeżeli nie pomarł w grzechu, to mu na tamtym świecie lepiej. Tam wszyscy równi, wszyscy pocieszeni, szczęśliwi...

— To wszystko może być, Mateuszu... ale ja wolałbym do końca świata skórami handlować; na tamte szczęśliwości zawsze człowiek ma czas. One nie uciekną i nie ominą... Są na świecie ludzie uczeni, mądrzy, nabożni; oni się znają na piśmie, oni wiedzą, co było, co jest i co będzie; dla nich nie sekret, co w wodzie, co na ziemi, co między gwiazdami; oni mają sposoby na złe duchy, mogą się z nimi mocować, bić, szarpać; znają sposób na sposób, figiel na figiel; potrafią odpowiedzieć na każde pytanie, odwrócić kota ogonem, i znowu łbem i znowu inaczej; oni mogą rozpoznać każdą rzecz z wierzchu, z pod spodu, ze wszystkich czterech boków i ze środka; oni mają kombinacje swoje, obrachowania... a jednak, wierzcie mi, Mateuszu, i dla nich, i dla takich mędrców, śmierć jest straszna... mówić o niej nie lubią. Dlaczego? To bardzo prosty interes. Oni wiedzą, jak odpędzić złego ducha; oni wiedzą, jak poradzić na złe oko; oni mają sposób na zrobienie kozła z barana... ale na śmierć nic nie mogą pradzić. Pomimo ich mądrości, ludzie umierają, giną jak muchy.

— Juści prawda — rzekł Mateusz.

— To, widzicie, jedni; prócz nich, są drudzy... nawet wstyd przyznać, między naszymi żydkami. Są paskudniki, bezbożniki, apikoresy, niedowiarki, zdrajcy, trefniaki, gałgany, którzy powiadają, że człowiek zaczyna się w tej godzinie, w której na świat przychodzi, a kończy się wtedy, gdy ostatni dech oddaje... Ci mówią, że to, co tu na ziemi, to nasze, a potem niema nic.

— O, to nieprawda.

— Te łajdaki powiadają, że prawda... i dlatego, że tak powiadają i że w to wierzą, boją się śmierci jak ognia. Teraz, czy wiecie, Mateuszu, dlaczego ja wam to mówiłem?

— No, dlaczego?

— Dlatego, żebyście się przekonali, że i nabożny człowiek i apikores, gałgan, co niby jest żyd, a nie żyd, co za rubla może się zrobić nawet Cyganem albo Turkiem, także śmierci nie lubi i nie pragnie. Ja wam więcej powiem: to nasze życie, tu na ziemi, to jest gotówka, moneta; dla jednego czyste złoto, dla innego same miedziaki, ale zawsze moneta; tamto znów drugie życie, za światem, to tylko kwitek, karteczka od uczonych ludzi. Cóż lepsze: gotówka czy kwitek?

— Nie obrażajcie Boga, Abramie. Jego obietnice z kwitkiem równać... grzech.

— Ja wcale nie równam, tylko mówię, że to, co jest, jest; a to, co będzie, nie jest to, co jest. Prócz tego, wiadomo dobrze od nabożników i uczonych, że dusza od ciała ni eoddziela się łatwo i że musi przy tem dużo cierpieć.

— O! o!...

— Nie myślcie, że jest inaczej. Najpierw, biedny chory, co mu już koniec życia przeznaczony, ujrzawszy anioła śmierci, przeraża się okropnie, ta, że ani słowa z wielkiego strachu przemówić nie może; po drugie, ciało jego cierpi. Nie wiem, czy zrozumiecie moje słowa, więc chcę wam dać przykład. Człowiek żyjący, ciało i dusza, to jest jedno, całość; dusza sama jest część człowieka. Chcecie poznać, jaki jest smak odrywania części od całości, to idźcie do cyrulika i każcie sobie wyrwać parę zębów, albo dajcie psu rękę, żeby odgryzł od niej palec, a przekonacie się, jakie to cierpienie. Cóż dopiero, kiedy się odrywa od ciała dusza, która nie jest przyszyta, jak kołnierz do kapoty, ale siedzi głęboko we wszystkich dwustu czterdziestu ośmiu częściach człowieka! Aj, Mateuszu, korek z butelki wyjąć... i to trudno, cóż dopiero duszę z ciała!

— Widziałem ja ludzi, którzy umierali cicho, spokojnie, bez krzyków i bez strachu... ot, niejeden przysposobi się na śmierć, a gdy ona przyjdzie, westchnie tylko, i już po nim...Dusza uleci, niby gołąbek, a umarły leży sobie, jakby spał. Owszem, wypięknieje nawet na gębie i uśmiech taki ma, jakby mu bardzo błogo było...

Żyd aż podskoczył na saniach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Piast się rozleciał. Taką wiadomość przyniosły gazety conocne, ftóre niesłuśnie dziennikami nazywają. A niesłuśnie la tego, bo one przecie nie wychodzą we dnie, jak inkse porządne, np. „Rola", ino w nocy. To dziw ino, że żadnej z nich jaki polikier nie przytarmosił i nie zamknął do ula. Taksamo i ci, co te conocne gazyty układają, nie powinni się nazywać dziennikarzami, ale nocnikarzami od swojego fachu. Ale niema sprawiedliwości na świecie i koniec.

Abo i z tem Piastem cy to jest sprawiedliwość? Gazety napisały, że się Piast rozleciał, a tu ani niebo nie zagrzmiało, ani się ziemia nie zatrzęsła, ani pierun nigdzie nie uwalił. Rozleciał się i koniec.

A nie myślcie sobie, że to ten Piast, co to jesce za nieboscyka Jadama kółecka potąd strugał, jaż se tron książęcy w Polsce wystrugał. Nie ten, nie! Tamten już się dawno rozleciał i ani kostecki już z niego nie pozostało. Teraz rozleciał się ten Piast, którego mój kolega Witos jesce przed wojną jednem słowem z nicego stworzył.

Jak się to stworzenie jesce przed wojną odbyło, to i mnie i Kaśce i gospodarzowi, a nawet gospodyni widziało się, że będzie to opoka, na której Witos parę kamienic se wybudują. Tak mi się zdawało i teraz widzę, że mi się źle zdawało, bo w Wierzchosławicach nima ani jedny kamienicy, a Piast się rozlatuje.

A la cego się rozlatuje? Bo ja wiem! Co prawda dziaduś Bojko powiadają, że tam w głowie tego Piasta tyle wsy się nakociło, żeby ich nawet zgrzebłem nie wychędożył. Może to być prawda, ale może być i nieprawda. Może być prawda, bo przecie taki ućciwy człowiek, jak dziaduś Bojko nie łgałby, gdyby było nieprawdą, ale może być także nieprawdą, ale Bojko tak powiada, bo się mu tak widzi, a że świństwa żadnego nie lubi, więc woli ujść, póki cas, nim go to gadziaństwo oblizie.

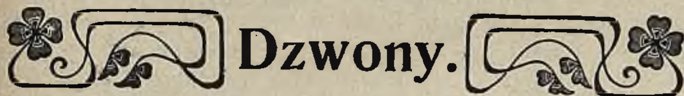
A że ja z Psiej Wólki nie mogę widzieć, kto tam w Warsiawie kradnie, a kto nie, więc też do tych rzecy misał się nie będę, zwłasca, żem jest cłek całkiem niepolitycny. Jedno mi się ino widzi, że jak taki cłek ućciwy, jak Bojko pójdzie z Piasta, to ten Piast będzie miał u siebie o jednego cłeka ućciwego mniej. A jakby posed jesce stamtąd jaki drugi człowiek ućciwy, toby już ubyło dwóch ludzi ućciwych. A jeżeli tam są nieućciwi, a być musą, kiedy tak Bojko powiada, to cy nie lepiejby było wziąć jakiego drapaca i to zatracone ścirwo na gnój powymiatać, aby swoją obecnością sejmu nie zapaskudzało?!

Chyba, żeby już sił nie stało na ocyscenie wszyćkiego złego!

Pewnikiem dziaduś Bojko założy se nowe stronnictwo. Może to i dobrze będzie, bo przez to Polska znowu troche się podniesie. Będzie odtąd w Polsce jeden prezes więcej, i jeden wiceprezes więcej i jeden sekretarz i jeden skarbnik, a pono i gazytka nowa będzie wychodzić, to i jeden gazyciarz będzie więcej, a nawet już Kaśka mi powiadała, że może i ja nim będę. A Kaśka dużo wi! Bo jak powi, że jutro będzie poniedziałek, to jak Amen w pacirzu, musi być nazajutrz poniedziałek. Może i co do mnie wyprorokuje! A jak co tydzień będzie przybywać dygnitarzy w Polsce, to wnet inksego narodu nie będzie wcale, ino same dygnitarze. I tak wtedy pan prezes będzie świnie pasł, pan prezes będzie zimniaki kopał, a pani prezesowa będzie krowy dojiła i pani prezesowa będzie kury macała. I nie będzie wtencas w Polsce ino same prezesy, wiceprezesy, sekretarze i skarbniki, a co dziesiąty chłop w kraju będzie redaktorem od gazyty. Świat się podzieli na parę gatunków ludzi, a rej nad nimi będą wodzić dziennikarze i nocnikarze.

Tak mi się to podoba, że po Nowem Roku i ja swoje stronnictwo rozwalam do imienia. Uchwalę se wotum nieufności i la gospodyni, i la gospodarza i la Kaśki, a zaraz nazajutrz zrobię se nowe stronnictwo, wybierę się prezesem i co mi kto zrobi. Gospodarz zrobią se swoje stronnictwo, gospodyni swoje, a Kaśka swoje, i w jednej chałpie będzie śtyry stronni-

ctwa, dwóch prezesów w portkach i dwóch prezesów w spodnicach. Gospodyni będzie prawica, Kaśka centrum, bo najobsyrniejsa w sobie, a ja i gospodarz utworzymy lewice. A będziemy na siebie pyskować, niech się schowa sejm i cała Warsiawa!!



Dzwony.

— Mamusiu...

— Co dziecino?

— Czy... prędko już bić będą dzwony... na... Anioł Pański?

— Za chwilę mój skarbie jedyny. Słonko już za góry się chowa.

Wysoka, wątła postać matki pochyla się nad wymizerowanym długą chorobą chłopczyną i bladą swą twarz od nieprzespanych nocy przytula do rozgorączkowanych policzków dziecka.

— Mamusiu... a czy Anioł Stróż stoi przy mnie?

— Stoi, Jasiu. Przy każdym człowieku stoi.

Przygasłe już i zmętniałe oczy dziecka wybiegły spojrzeniem za okno, gdzie jesień złotem przybrała drzewa. Powiewał wiatr lekki a od gałązek raz w raz odrywał się liść i drżący, cichuteńko spływał na ziemię.

— Mamusiu... czy drzewa płaczą? Bo widzisz, za oknem, w naszym ogródku tak gęsto padają liście... to jakby łezki... jakiejś sierotki...

Szloch cichy, zduszony, zatargał piersią matki. Nie mogąc już popomieścić w sobie boleści, kurczowo ścisnęła rękami głowę, przygryzając do krwi usta, by nie wybiegł z nich jęk żału i nie zamącił spokoju umierającemu dziecku.

Więc naprawdę odejdzie od niej ta subtelna dobra duszyczka. Odejdzie, bo tak orzekł rano lekarz... i już nigdy nie uczuje na swej szyji oplotów jego drobnych ramionek i nikt na nią nie zawoła: mamusiu...

Ostatni promyk zachodzącego słońca padł na wyżółkłą twarz dziecka, rozmigotał płomykiem w czarnych, dużych oczach, w oczach, w których nic już ziemskiego nie było i ucałowawszy pieściwie puszyste loki, znikł.

Cisza osnuła pokój. Zegar tylko cykał monotonnie posuwając wskazówki nieubłaganie naprzód.

Cisza. W matce rozdygotany każdy nerw w oczekiwaniu na bolesną chwilę wiecznego rozstania.

Błękitnawy zmierzch jął wolniutko wychylać się z kątów otulając ubogi pokoik szarym cieniem.

Nagle, gdzieś zdala dopłynął melodyjny głos dzwonu.

Chłopczyk drgnął.

— Mamusiu... dzwony... otwórz okno... mamusiu...

Zawachała się. Chłodne, jesienne powietrze mogłoby zaszkodzić, bo, mimo bolesnych słów lekarza nieubłaganie oznaczających godzinę śmierci, gdzieś, na samym dnie serca tliła się iskierka nadziei... że może...

— Mamusiu... — dobiegł ją błagalny, słaby głosik a przygasłe, czarne oczy utkwione w nią były w prężącem oczekiwaniu.

Otwarła, ostatnią robiąc przyjemność ukochanemu dziecku, które od rana czekało na odezwanie się ukochanych przez siebie dzwonów.

A dzwony grały. Dusza dziecka, będąca już na odlocie, chłonęła w siebie melodyjne dźwięki brzmiące przedziwnie smutno w wieczornej ciszy zmierzchu.

Przebrzmiało pierwsze Zdrowaś Marja.

Na niebie gasły zwolna wieczornej zorzy blaski.

A dzwony grały. Każdy dźwięk ich serca w sercu matki wzniecał potęgujący się ból.

Oczy dziecka przygasły zupełnie. Na ustach spieczonych gorączką, osiadł słodki wyraz.

Przebrzmiało drugie Zdrowaś Marja.

Wzrok matki utkwiony w twarzy syna, konał od męki. Zdało się, że do pokoju wszedł ktoś niewidzialny i zajął pierwsze miejsce.

A dzwony grały. W melodji ich pożegnanie tych łąk kwiecistych upojonych od woni, które umierający chłopczyk tak bardzo kochał, tych promiennych zachodów słońca w które patrzał rozgorzałemi oczyma i tych wieczorów błękitnych od księżyca, w których matka opowiadała mu cudne baśnie...

Ostatni ton zadrgał, odezwał się cichem echem i umilkł.

Cisza. Oczy matki przez cały czas wpatrzone w syna, nie zdołały uchwycić momentu odejścia jego duszyczki.

Odeszła. Z ostatnim dźwiękiem dzwonu uleciała hen ku gasnącym zorzom, na zawsze... *Orlica.*

Sąd Duchów.

W posępnej wszechświatowej ciszy przeraźliwym dźwiękiem przepłynęło słowo wyroczni... i smutne zawisło w mgłach ponad światem umarłych.

Budziły się duchy. W długich przeźroczych korowodach płynęły zewsząd, snując się białemi tumanami, w nieobjętej próżni pozaświatowych przestrzeni. Rozpylone w drobne atomy — miljardami bladych płomyków rozwiane w bezkresie — magnetycznie skupiały się w szerokie kolisko, kędy pośród srebrzystych mgławic miał się odbyć sąd Najwyższych Duchów, sąd nad grzesznemi.

Gwiaździsty tron błyszczał zawieszony ponad światami, a niżej kędyś pod stopami, ścieliły się błękity rozesłane w nieskończoność...

Wokoło gwiaździstego tronu widniało dwanaście ognistych ław, na których zasiąść mieli Najwyżsi sędziowie.

Trwożna cisza wyczekiwania rozpostarła się ponad krainą umarłych — za chwilę zstąpić miał z niewidzialnych szczytów Król-Duch, Najwyższy sędzia, w orszaku dwunastu innych Duchów.

Piorunowa błyskawica rozdarła mglistą oponę chmur, a pośród ognistego węża błyskawic, ukazał się Najwyższy Duch sąd.

Rozkołysały się fale przeźroczych długich korowodów, zaciskając coraz bardziej szerokie wspólne kolisko, a Król-Duch rozpoczął godzinę badania...

Wzywane, odrywały się od wspólnego łańcucha, postacie wielkie tytaniczne... promienne... i szły ku trybunie sprawiedliwości, zdając krótko rachunek ze swych wielkich czynów, przebrzmiałych kędyś w wiekach zapomnienia — które jednak rozbłysły w godzinę sądu ognistemi blaskami, i rzuciły różowy płomień nadziei na blade otaczające je kolisko.

Głos z trybuny brzmiał miękko do stojących w pokorze tytanów czynu:

— Pokój wam! boście spełnili swoje przeznaczenie.

Promienne duchy, chyląc głowy przed najwyższym majestatem, odchodziły w roztwierające się im wrota błękitnych podwoi... A po nich następowały inne — mniej promienne, ale stężone w sobie ukrytą mocą długich przeżytych w milczeniu cierpień..., które teraz złotemi zgłoskami drżały wpośród głębokich bruzd wyrytych na ich zamyślonych czołach.

— I wam pokój! — brzmiał głos z trybuny — boście cierpieli w milczeniu, nie znając uśmiechów życia.

Milczące duchy odchodziły w błękitne wrota... a na ich miejsce szły coraz inne, coraz mniejsze i bardziej nędzne, które nie niosły już na swoich czołach promiennych zgłosek zasługi, lecz ostre oskarżające przewinienia.

Pochód ten ciągnął się w nieskończoność... Szerokie bezkresy zapełnione były szaremi widmami, które szły okryte w nędzne łachmany, spędzonego beztreściwie życia, lub w pokrwawione strzępy popełnionych niegdyś zbrodni.

Olbrzymie tłumy osądzonych, przechodziły na inny brzeg, widniejący kędyś w mrokach sinej mgły, ponad czarną przepaścią — lecz pochód szarych postaci nie kończył się.

Wówczas Król-Duch spojrzał smutnym wzrokiem na nieobjęty tłum nędzarzy, i serce Jego zadrżało bezgraniczną litością dla upadłego człowieka — wstrzymał więc na ustach surowe słowa potępienia, a zwracając się do stojących tłumów, rozkazał, by z każdej odmiennej gromady grzeszników, wyszedł na sąd tylko jeden.

Szmer nadziei przepłynął ponad tłumem, i wnet zaczęły odrywać się pojedyńcze postacie, i podchodzić ku sędziemu, a Król-Duch pytał każdego:

— Kto jesteś?... i jakie twoje winy?

A pierwszy przystąpił ojcobójca, i rzekł:

— Jam jest jeden z najbiedniejszych — zabiłem ojca!

— Nieszczęsny!... maszże co na usprawiedliwienie siebie, i podobnych tobie?

— Mam jedno!... — jęknął oskarżająco. — Oto w zaraniu mojego życia, nie rozbudzono we mnie duszy człowieka... nie zagrzano mi serca świętą miłością ludzkości... nie ukazano mi wielkiej Prawdy wszechżycia. Ojciec, którego zabiłem ciało, zabił we mnie pierwej duszę dziecka, znieprawiając ją złem jakie rozsiewał dookoła...

Zadumał się Król-Duch, nad skargą ludzkiego nędzarza, i rzekł:

— A że ręce twoje, i podobnych tobie — splamione krwią ojców, matek i braci waszych... przeto nie możecie wejść w hierarchję duchów czystych... i odrodzenie wasze nastąpić musi powtórnie w pokucie nowego wcielenia jakie przejdziecie, aby stać się w przyszłości czystemi. A teraz idźcie z powrotem w świat nędzy i łez... przez pokutę szukajcie odkupienia!

Długi łańcuch okrwawionych nędzarzy przesunął się i zniknął w gęstych mgławicach zasnuwających niziny, kędy zaczynał się padoł cierpiena i łez...

Z tłumów stojących zaczęły się odrywać nowe postacie, i podchodzić ku trybunie sędziego.

Stanął znów człowiek obdarty, i rzekł:

— A jam jest ten, co brata mego dobro grabiłem siłą i podstępem — przyznając sam sobie prawo, które było w przykazaniu bożem surowo zastrzeżone... Ale o Panie, nie jam winien temu! Nędza i głód, były pierwszemi doradźcami, co mnie zmusiły do wyciągnięcia ręki po cudzą własność, a potem winni byli ci, co nie wnikając w przyczyny postępku pchnęli mnie z całą surowością w otchłań ciemności — kędy znieprawiono moją duszę... gdzie oczom dano widzieć rzeczy ohydne, a ustom podano kielich wstrętnego haszyszu, i ukazano drogę występku i rozpusty. I oto całe miljony podobnych mnie, stoją poza mną, których sądziło po tysiąc razy zimne prawo sędziów ludzkich... i za każdym razem miast podnieść spychało coraz niżej na dno otchłani.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Rozłam w stronnictwie P.S.L. „Piast“. W ubiegłą środę senator Bojko wydał odezwę do włościan, w której omawia dzieje ruchu ludowego w Polsce, powstanie „Piasta“ i rolę, jaką w nim sam odegrał. W dalszym ciągu pisze sen. Bojko o pracy „Piasta“ nad odbudową Polski po uzyskaniu niepodległości i potępia metody polityczne posła Witosa, zarzucając mu, że dla celów osobistych utrudnia porozumienie się z rządem, na którego czele stoi Marszałek Piłsudski, a który pracował wytrwale, zatrzymał zwyżkę dolara, dał nam mocną walutę, zaciągnął dobrą pożyczkę, otwierając w ten sposób źródła dobrobytu i podnosząc znaczenie naszej Ojczyzny. „W tej pracy, partyjnicy — pisze dalej Bojko — jak tylko mogli dokuczali w słowie i piśmie rządowi, aby mu tylko pracę udaremnić. Do dziś dnia mimo próśb i przedstawień wielu kolegów klubowych, a więc i swoich, bezstronnych — stoi Witos na przeszkodzie współpracy klubu „Piasta“ z rządem. Snuje się mu wciąż po głowie myśl powrócenia do rządu, choćby przeciw interesom ludu polskiego. Tak, jak nas nie usłuchał, gdyśmy mu odradzali związek z prawicą, tak i teraz, gdy na posiedzeniu klubu, i to nie raz, radzono mu życzliwie, by nawiązał rokowania z rządem, choćby za cenę usunięcia się chwilowego z politycznej areny klubowej — nie chce o tem słyszeć“. W dalszym ciągu sen. Bojko zapowiada ujęcie ruchu ludowego w swoje ręce i założenie w najbliższych dniach nowego tygodnika p. t. „Chłop polski“. Sen. Bojko zamierza też zwołać do Krakowa wielki kongres ludowy, na którym ma przedstawić obszernie swoje zamiary. Gazety codzienne przewidują, że za przykładem Bojki pójdzie pewna ilość posłów i senatorów, a nawet już wymieniają niektóre nazwiska.

Obrabowanie posła Witosa? „Nowy Wiek“ donosi z Warszawy: W Wierzchosławicach, siedzibie posła Witosa, dokonano zuchwałego rabunku. Niewykryci dotychczas złodzieje zajechali z wozem przed dom Witosa i zrabowali tam biżuterję córki Witosa, bieliznę i całe nakrycie stołowe przeznaczone do nowo wybudowanej willi Witosa w Zakopanem. Po dokonaniu tej kradzieży złodzieje zbiegli bez przeszkody. (Czy wiadomość ta jest prawdziwą, nie wiadomo nam. Podajemy ją jedynie na odpowiedzialność „Wieku Nowego“).

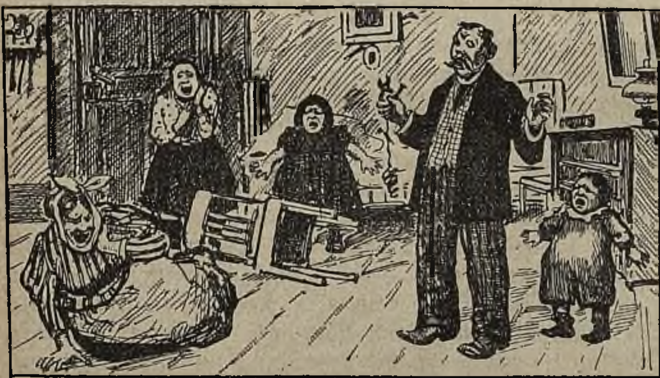
Rozwiązanie Rady miejskiej w Przemyślu. W ubiegłą środę województwo lwowskie rozwiązało Radę miejską w Przemyślu i równocześnie zamianowało komisarzem rządowym Dra Kazimierza Rościszewskiego starostę w Rudkach.

Świętokradztwo w Przemyślu. W jednym z najpiękniejszych kościołów przemyskich, na t. zw. Błoniu, posługiwał od dłuższego czasu 15-letni chłopak, Edward Lewczak, którego zachowanie nie wzbudzało u nikogo żadnych podejrzeń. Okazało się jednak, że nie można mu było ufać. W głowie bowiem Lewczaka już od dłuższego czasu musiały się przewijać myśli o dojściu do większej sumy pieniędzy, jeśli umyślił sobie dojść do nich choćby drogą świętokradztwa. W ostatnich czasach, ze względu na uroczystości ku czci św. Teresy, ołtarz Jej został przez dziesiątki wiernych obwieszony cennemi wotami, z pośród których honorowe miejsce zajmował cenny pierścień złoty, wysadzany kamieniami. Na pierścień ten padły oczy Lewczaka. Postanowił się nim zaopiekować. Z tego powodu, korzystając onegdaj z tego, że kościół opustoszał, wydrapał się szybko na ołtarz i zerwał pierścień, poczem po dokonaniu świętokradztwa udał się do domu. Tutaj jednak kradzież wyszła na jaw.

Matka Lewczaka natknęła się przypadkowo na skradziony przedmiot, a kiedy po doraźnem ukaraniu syna dowiedziała się o pochodzeniu pierścienia, zawinęła go w chustkę, pochem udawszy się pod kościół, podrzuciła go pod wejściem. Manipulację tę jednak ktoś zauważył. Doniesiono o niej policji i tak po nitce do kłębka odkryto prawdę. Młodocianym przestępcą zaopiekowała się policja.

Ujęcie rabusia. Komenda powiatowa policji państwowej w Rzeszowie zawiadomiła telefonicznie urząd śledczy we Lwowie, że tamtejsi funkcjonarjusze policyjni przytrzymali niebezpiecznego rabusia Jana Junę, który od roku grasował w powiecie rzeszowskim. W ciągu kilku miesięcy popełnił on trzy rabunki. Mianowicie obrabował Wojciecha Pitrę w Suchorzowie, Józefę Białkową w Woli i Franciszkę Pagacz w Wielkiej Wsi. Nadto dokonał morderstwa rabunkowego na osobie Franciszka Marca, gospodarza w Nagnajowicach koło Tarnobrzega. Aresztowanego Junę policja odstawiła do sądu okręgowego w Rzeszowie.

Nieudany dentysta. Pomysłowy wieśniak, Stanisław Makuch, chciał oszczędzić wydatku na dentystę i postanowił sam dokonać operacji na żonie. Gdy kleszcze i obcęgi zawiodły, a ból nie ustawał, sporządził on aparat sam naprędce. Sprężynę starą, szczypce i dwa gwoździe powiązał ze sobą tak „misternie“, że, jego zdaniem, nawet pierwszy dentysta nie potrafiłby tego lepiej dokonać. Po wychyleniu kilku kieliszków wódki na „kuraż“ żona siadła na krześle, a on przystąpił do operacji. Aparat przytrzymany rękami, zmieścił się w ustach kobieciny, a nawet szczypce chwyciły za ząb bolący. Dumny ze swego dzieła szarpnął raz, drugi i trzeci, ale bolący ząb ani rusz.



Tymczasem sprężyna wyskoczyła i zamiast podnieść do góry szczypce, wbiła się całą siłą w podniebienie operowanej kobiety. Żona upadła na ziemię, wydając gardłowe jęki; dzieci w płacz i krzyk. Zrobił się gwałt; zaalarmowano sąsiadów i policję. Makuchową odwieziono do szpitala, gdzie lekarze po dłuższej dopiero operacji wyjęli z ust jej cały kunsztowny „aparat“, a następnie i ząb bolący. Makucha uwięziono, sędzia jednak uwolnił go, gdyż tłumaczył się, że go nie stać było na zapłacenie dentysty.

Krwawe wesele. Onegdaj we wsi Grabówka obok Brzozowa odbywała się zabawa weselna u jednego z tamtejszych gospodarzy. W nocy w czasie tańców między gośćmi weselnymi przyszło do awantury i bijatyki. Między innymi pobity został także 29-letni Józef Bodal. Ktoś z atakujących uderzył go tępem narzędziem po głowie, skutkiem czego Bodal na miejscu padł trupem. W sprawie tej dochodzenia przeprowadziła komenda policji w Brzozowie. Śledztwo wykazało, że sprawcami tego zabójstwa są Stanisław Wojtowicz i Jakób Kielec, mieszkańcy Grabówki. Obaj zostali aresztowani i odstawieni do sądu w Brzozowie.

Dwukrotne samobójstwo urzędnika. Rachmistrz gazowni miejskiej w Stanisławowie, Władysław Piwoński, cierpiąc od dłuższego czasu na rozstrój nerwowy, postanowił położyć kres swemu życiu. W tym celu w mieszkaniu własnem strzelił do siebie dwukrotnie z rewolweru, a padając doznał kontuzyj wewnętrznych. Odwieziono go natychmiast do szpitala powszechnego i umieszczono w sali operacyjnej na drugiem piętrze, aby wykonać odpowiedni zabieg leczniczy. W kilka dni później stan zdrowia zaczął się polepszać. Piwoński odzyskał przytomność, lecz, skorzystawszy z chwilowej samotności, zerwał się z łóżka, przyskoczył do okna i z drugiego piętra runął na bruk, skutkiem czego doznał złamania kręgosłupa. Zabrano go natychmiast z powrotem do szpitala, gdzie wśród strasznych męczarni zakończył życie.

Pobicie „Króla Zygmunta IV“. W Warszawie żyje maniak przedstawiający się za króla polskiego Zygmunta IV. Otóż w ubiegłym tygodniu człowiek ten przybył do redakcji tygodnika „Głos monarchisty“ i w grzeczny sposób prosił o wydrukowanie „manifestu do narodu“. W odpowiedzi na to znajdujący się wówczas w redakcji panowie zażądali od niego, aby podpisał akt zrzeczenia się wszelkich uroszczeń do tronu. Gdy nieszczęsny człowiek odmówił temu, zaczęto go bić, aż wreszcie się zgodził i podpisał abdykację. W sprawę wdała się policja, spodziewać się więc należy, że „panowie“ owi zostaną surowo ukarani.

Katastrofa kolejowa. W ubiegłym tygodniu o godzinie 6'10 rano w pobliżu Łowicza nastąpiła katastrofa kolejowa. Parowóz z brankardem, obsługiwany przez cztery osoby, najechał na jadący po tym samym torze pociąg towarowy, zdążający do Kutna. Katastrofa wydarzyła się w odległości 3 klm. od stacji Zielkowice. Parowóz pędzący z szybkością 35 klm. na godzinę, był w pełnym biegu, gdy maszynista zauważył jadący naprzeciw pociąg. Niestety nie mógł już zatrzymać maszyny, wobec czego nastąpiło zderzenie. Oba parowozy spiętrzyły się w zderzeniu i zdruzgotane spadły z nasypu. Dziesięć wagonów pociągu towarowego uległo wykolejeniu i zostało częściowo rozbitych. Dyrekcja kolei w Warszawie wysłała natychmiast na miejsce katastrofy komisję śledczą, która zarządziła aresztowanie dyżurnego urzędnika ruchu na stacji Zielkowice, Józefa Drzewieckiego, gdyż z jego to winy nastąpiła katastrofa. Mianowicie Drzewiecki wypuścił pociąg gospodarczy na tor zajęty już przez parowóz z brankardem. Pociąg towarowy, tak samo jak parowóz z brankardem, wiózł samych tylko kolejarzy. Rannych jest ogółem 12 osób, w tem 8 ciężej.

Samobójstwo na żarty. Mieszkańcy domu przy Pillergasse 12 w Wiedniu zostali zaalarmowani rozpaczliwym krzykiem wzywającym pomocy. To wołała żona jednego z mieszkańców niejakiego Jana Kesseldorfera, który, jak się następnie okazało, powiesił się na drzwiach w obecności żony. Pierwiastkowe śledztwo zdołało ustalić, że krytycznego wieczoru Kesseldorfer przed położeniem się spać uprzedzał żonę, że się powiesi, ponieważ jednak straszył on ją w ten sposób w formie żartu od całego szeregu lat, żona, nic sobie z tego nie robiąc, ułożyła się do łóżka, obróciła do ściany i poczęła czytać gazetę. Gdy po pewnym jednak czasie spojrzała na pokój, oczom jej przedstawił się widok wiszącego na drzwiach męża. Przerażona wyskoczyła coprędzej z łóżka, aby uwolnić szyję samobójcy od zaciśniętej pętli, sporządzonej z rzemienia od spodni. Usiłowania jej jednak wobec ogromnego ciężaru ciała męża, nie doprowadziły do niczego. Wówczas dopiero rzuciła się do okna, wzywając pomocy. Nadbiegli są-

siedzi zastali zupełnie jeszcze ciepłe ciało samobójcy, jednakże mimo wszystkich usiłowań nie udało się go przywrócić do życia. Kesseldorfer był woźnicą, któremu powodziło się dobrze, nie miał on specjalnych trosk ani zmartwień i wogóle zebrane szczegóły jego życia wykluczają wszelkie przyczyny, które mogłyby go doprowadzić do rozpaczliwego kroku targnięcia się na życie. Wobec tego nie jest wykluczone przypuszczenie, że początkowo umyślił on wypłatać figla żonie, aby ją przestraszyć. figiel ten jednak zakończył się bardzo tragicznie. Śledztwo w tej niezwykłej sprawie prowadzone jest w dalszym ciągu, gdyż podobno znajdują się tam punkty niedostatecznie wyjaśnione.

Zatonięcie parowca włoskiego. Parowiec włoski „Principessa Mafalda“ zatonął na oceanie Atlantyckim. Na pokładzie okrętu znajdowało się 1.300 pasażerów, z czego zaledwie 800 zdołało się uratować. Inne okręty, znajdujące się w pobliżu katastrofy, rozpoczęły energiczną akcję ratunkową.



Niemiecki okręt Athena“ uratował 400 pasażerów, angielski „Empire Star“ 200, francuski „Formosa“ 120. Obrazek nasz przedstawia właśnie chwilę ratowania tych nieszczęśliwych.

Przepowiednie na rok 1928. Liczba przepowiedni, proroctw, wróżb, prognoz na rok 1928 — ciągle wzrasta. W różnych krajach pojawiają się tego rodzaju przepowiednie, które jednak częstokroć zabarwione są specjalną tendencją narodową. I tak naprzykład charakterystyczną jest rzeczą, że niemieccy prorocy starają się przyszłość Niemiec przedstawić w barwach jak najpomyślniejszych. Paryż był od dawna siedzibą wróżek, chiromantek, kabalarek, czytających przyszłość z kart, z fusów do kawy, kuli kryształowej i t. p. Słynną była swego czasu wróżka, p. de Thebes, która specjalnie trudniła się zestawianiem prognoz politycznych. Przyznać jej należy, że częstokroć przepowiednie te się spełniały, nie należy jednak zapominać, że przeważnie ta Pytja paryska wygłaszała swoje przepowiednie w formie tak ogólnikowej i tajemniczej, że można je było w rozmaity sposób interpretować. Obecnie miejsce pani de Thebes zajęła wróżka i kabalarka, niejaka Theo Daniels. Przepowiednie tej wróżki cieszą się wielkiem powodzeniem, nawet wśród najinteligentniejszych kół Paryża. Niedawno Theo Daniels ogłosiła przepowiednie dotyczące roku 1928, które zostały podane do wiadomości ogólnej w całym szeregu dzienników francuskich. Przedewszystkiem Theo Daniels stwierdza, że przepowiednie jej ogłoszone na rok 1927 sprawdziły się w zupełności. Ten fakt zachęca ją i ośmiela do ogłoszenia nowych przepowiedni na rok 1928.

— Wiem — powiada wróżka — że wiele osób przyjmie je z drwinami i szyderstwem, ale niech poczekają cierpliwie rok, a wówczas przekonają się, że mówiłam prawdę.

Theo Daniels stwierdza naprzód, że rok 1928 pozostawać będzie pod znakiem coraz to silniejszej i energiczniejszej pracy pokojowej. Konsolidacja stosunków europejskich posunie się znacznie naprzód. Niemcy poniechają swoich planów wojennych i zajmą się pracą nad podniesieniem przemysłu oraz handlu. Anglja będzie miała pewne kłopoty kolonjalne, ale wyjdzie z nich obronną ręką. Francja załatwi pomyślnie swoje trudności finansowe. W Rosji nastąpi przewrót a następnie ustalenie stosunków w duchu umiarkowanego demokratyzmu. Rok 1928 ma być specjalnie katastrofalnym dla Włoch, gdzie wybuchnie ostra reakcja przeciwko rządom Mussoliniego. Polska połączy się z Litwą i stanie się państwem potężnem. Wpływ Ameryki na Europę znacznie osłabnie. Rok 1927 ma być niekorzystnym dla Forda, który — według przepowiedni — straci znaczną część swego majątku. W roku 1928 umrze jeden z monarchów europejskich. Liga Narodów zyska na znaczeniu, bowiem zdoła rozstrzygnąć pomyślnie cały szereg konfliktów międzypaństwowych. W roku 1928 urodzi się w Europie kilkunastu genjuszy, z tego pięciu przypada na Polskę.

Pani Theo Daniels ustala również prognozy pogody. Twierdzi ona, że zima na przełomie 1927-28 roku będzie bardzo ostra. Na wiosnę kilka katastrofalnych powodzi nawiedzi kilka krajów Europy. Lato nie będzie również zbyt pogodne, jednak nie katastrofalne, tak, że to nie pociągnie za sobą żadnych złych skutków ekonomicznych.

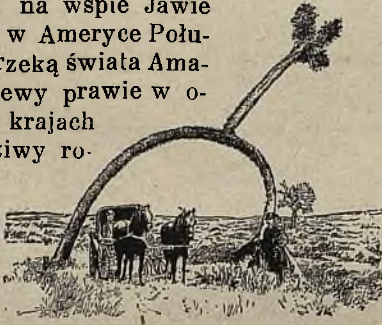
Aby się przekonać, czy przepowiednie te sprawdzą się, najlepiej zachować „Rolę“ do przyszłego roku i wówczas wróżby te przeczytać.

Proces zabójcy Petlury. W Paryżu toczył się obecnie proces przeciw mordercy atamana ukraińskiego, Semena Petlury, Schwarzbardowi. Proces ten obudził olbrzymie zainteresowanie w całym świecie, czego dowodem jest przyjazd do Paryża szeregu sprawozdawców dziennikarskich z całego świata. Morderca, jak wiadomo, podaje w motywach swego czynu zemstę za dokonywanie pogromów żydowskich przez wojska Petlury na Ukrainie. A więc wynika z tego, że czyn mordercy miał podkład ideowy. Tymczasem akt oskarżenia wykazuje, że Schwarzbard był w swoim czasie dwukrotnie karany za kradzież z włamaniem, a w dodatku był w ostatnich czasach na usługach bolszewji. Morderca odpowiada chętnie na zadawane mu pytania. Pomimo że Schwarzbard przyznał się do morderstwa, pomimo że nikt temu nie zaprzeczał, sędziowie przysięgli uwolnili go zupełnie od winy i kary. Zbrodniarz, obawiając się pozostać w Europie, ma zamiar wyjechać do Ameryki.

Najlepszy materjał na męża. Francja, która, jak wiadomo, przebywa od dłuższego czasu kryzys wyludnienia wskutek małej ilości zawieranych małżeństw, stara się przezwyciężyć to zło najrozmaitszemi środkami propagandowemi, mającemi na celu pobudzić w społeczeństwie zainteresowanie problemem małżeństwa. Temu celowi też służy ankieta, rozpisana niedawno przez jeden z wielkich tygodników paryskich na temat. jaki być powinien stosunek wieku między małżonkami. Na ankietę nadesłano około trzech tysięcy odpowiedzi i rzecz dziwna, że dość duża liczba głosów oświadczyła się za małżeństwami w równym wieku a nawet za zawieraniem małżeństw z kobietami starszemi. Innego zdania jest natomiast pani Grinech, która orzeczenie swoje opiera na długoletniej obserwacji życia. Według niej młoda dziewczyna powinna stanowczo przełożyć małżeństwo z człowiekiem starszym nad małżeństwo z młodzikiem. Człowiek dojrzały ma więcej doświadczenia i umie lepiej ocenić wartość swej żony, jest dla niej wyrozumial-

szy i rozumie lepiej potrzeby. Młodzik natomiast myśli tylko o sobie, miłość jego opiera się zazwyczaj na zmysłowem pożądaniu i dlatego po krótkotrwałych uniesieniach szybko gaśnie, ustępując miejsca nowym pożądaniom i nowym miłostkom. Jednem słowem, młody mężczyzna w małżeństwie wyłącznie tylko bierze, nie dając nic w zamian. Podobne poglądy wypowiada większość kobiet, pomiędzy któremi znajdują się wybitne artystki, literatki i społeczniczki. Malarz Joe Brigde, oświadczając się również za zdaniem, że wiek dojrzały u mężczyzny jest najodpowiedniejszy do zawarcia małżeństwa, akcentuje nadto, że obecnie, dzięki uprawianiu sportów i racjonalnemu sposobowi życia, mężczyzna czterdziestoletni jest również młody, jakim był młodzieniec dwudziestoletni z ubiegłego stulecia. Granica młodości została rozszerzona dla obydwóch płci i niema dziś zarówno przeszkody, aby czterdziestoletni mężczyzna zaślubiał młodą dziewczynę, jak, aby kobieta dojrzała mogła dać szczęście człowiekowi od niej młodszemu.

Drzewo jak brama. W krajach gorących roślinność jest, jak wiadomo, o wiele bujniejsza niż u nas, ponieważ słońce silniej działając, wzmaga porost roślin wszelakich. Jeśli się do tego przyłączy dużo wilgoci w powietrzu, jak n. p. na wspie Jawie w Azji albo w Brazylji, w Ameryce Południowej, nad największą rzeką świata Amazonką, to drzewa i krzewy prawie w oczach rosną. W tych też krajach zdarzają się rozmaite dziwy roślinne co łatwo zrozumieć, gdyż jeżeli roslina choć trochę zacznie róść inaczej niż powinna grubieje z czasem i zachowuje kształt osobliwy. W Kalifornji znaleziono niedawno na środku stepu duże drzewo tak zwanej Jukki, rodzaju sosny, które wyrosło krzywo, opuściło się ku ziemi i wrosło w nią, tworząc drugi korzeń. W ten sposób utworzyła się jakby brama, tak wielka, że pod nią łatwo zmieścić się mogą obok siebie dwa duże wozy.



Stuletni parlamentarzysta. W mieście kanadyjskiem St. Hyacinthe obchodził niedawno setną rocznicę urodzin Georges C. Desaules, dożywotni członek senatu kanadyjskiego. W 1906 roku, wówczas 79-letni starzec, otrzymał Desaules nominację na senatora dożywotniego i dotychczas zasiadał w senacie kanadyjskim, a choć nigdy nie przemawiał, bo nie odznacza się wymową, jednak uczestniczy pilnie we wszystkich posiedzeniach, gdyż jest wciąż jeszcze starcem dziarskim i pełnym ochoty do życia. Najstarszy ten bezwątpienia parlamentarzysta nietylko w Kanadzie, ale i na całym świecie, przeżył niemal wszystkich senatorów, którzy witali go gdy wstępował do senatu.

Żółwie wyścigi. Słyszeliśmy już o wyścigach psów i strusi, ale nikt chyba nie wie, że istnieją również wyścigi żółwiów. Pisma amerykańskie donoszą jednak, że w miejscowości Ponza w stanie Oklahoma odbyły się niedawno przy udziale 10.000 widzów pierwsze w Ameryce wyścigi żółwiów. Do konkursu stanęło 50 żółwiów, a droga, jaką miały do przebycia, wynosiła 75 stóp. Pierwszy żółw doszedł do mety po 88.50 sekundach, za co właściciel jego otrzymał pierwszą nagrodę w wysokości 3.870 dolarów. Druga i trzecia nagrodą wynosiły 750 względnie 500 dolarów.



RZECZY CIEKAWE.

Wszechświatowe zapasy złota.

Według obliczeń wydobyto od czasów odkrycia Ameryki ogółem złota wartości 20 miljardów dolarów. Znaczna część tej ilości zużyta została w przemyśle i przekształcona na wyroby jubilerskie, pozostała zaś przechowywana jest w skarbcach bankowych i stanowi t. zw. „podkład kruszcowy“, gwarantujący, wartość obiegowej waluty papierowej w różnych krajach. Pierwsze miejsce zajmują w tej dziedzinie oczywiście Stany Zjednoczone, których banki posiadają około 10 miljardów dolarów w złocie, co stanowi tembardziej imponujący rekord, że bezpośrednio po amerykańskim Krezusie następująca Francja może poszczycić się zaledwie 700 miljonami dolarów złotych. Nawiasem mówięc, spora ilość francuskiego złota znajduje się w obecnej chwili zagranicą w zastawie u cudzoziemskich wierzycieli.

Historja tabaki.

Zażywanie tabaki, które było tak rozpowszechnione za czasów naszych dziadów pono znów wchodzi w użycie. Zresztą przetrwał ten nałóg aż do dzisiejszych czasów, zwłaszcza w sferach duchownych i niektórych kategorjach robotników.

Pierwszą damą, zażywającą tabakę — ze względów zdrowotnych — była Katarzyna Medycyjska; otrzymała ona w podarunku ów „proszek na kichanie“ od Nicota, który pierwszy sprowadził tytoń do Francji, — od jego właśnie nazwiska pochodzi nazwa nikotyny. Wśród wielu innych historycznych postaci namiętnie zażywali tabakę: Ludwik IV, Cromwell, Napoleon I i Talleyrand, których piękne, misterne wykonane, wysadzane drogiemi kamieniami tabakierki możemy dziś oglądać w muzeach. Według twierdzenia lekarzy, zażywanie tabaki w dobie obecnej może być skuteczną reakcją przeciw nałogowi wąchania kokainy i innych szkodliwych narkotyków.

Smakołyki.

Anglik nazwiskiem Turzon, który objechał świat cały i spożywał najróżnorodniejsze i nadziwaczniejsze potrawy, orzekł, że bardzo smaczne jest mięso z nosorożca i hipopotama (konia rzecznego), daleko smaczniejszem zwłaszcza mięso z młodego słonia, tylko że tego tak nadzwyczaj rzadko dostać można, bo słonie to zwierzęta bardzo drogie i stąd nikt ich nie zabija jedynie w tym celu, aby się najeść mięsa słoniego. Najsmaczniejszą jednakże wogóle koroną wszelkich smaczności, ma być wedle Turzona pieczeń z indyjskiego węża olbrzymiego, zwanego Boa constrictor. Smakosz angielski podejmował najniebezpieczniejsze wyprawy, aby tylko zdobyć tak cenioną przezeń pieczeń, bo widocznie innych trosk już nie miał.

Kraj długowiecznych.

Znanym jest faktem, że Bułgarja posiada najwięcej ludzi długowiecznych śród wszystkich krain europejskich.

I najświeższe jej dane statystyczne wskazują, że na początku roku bieżącego 2.161 mieszkańców Bułgarji liczyło po sto lat. W tej liczbie znajduje się 1.169 kobiet i 992 mężczyzn.

W celu zbadania przyczyn tego zjawiska, bułgarski urząd statystyczny wydelegował komisję, złożoną z lekarzy, która ma zbadać szczegółowo, śród jakich warunków starcy dosięgli tak sędziwego wieku.

Dotychczas komisja powyższa zbadała te warunki w trzech powiatach.

Z góry jednak można przewidzieć, że sąd jej zawrze się w dwóch słowach: jaknajprostsze życie.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Ludwik St. Unsing** w B.: Dalsze dwa artykuły otrzymaliśmy — pójdą kolejno. Stałej rubryki tworzyć nie możemy, gdyż to tworzyłoby pewnego rodzaju monotonję. Książeczki otrzymaliśmy dziękujemy. — **S. Tessówna** w W.: Ani treść, ani styl, ani nawet ortografja nie kwalifikują nadesłanego nam utworu do druku. — **J. Serafin** w M.: Pierwsze dwie rzeczy wydrukujemy. Pieśń ku czci św. Marcina, pomimo, że pochodzi z 1719 r., nie zasługuje na przedruk. Jest to utwór bardzo słaby, wątpimy więc, czy wzbudziłby on cześć dla świętego u czytelników. — **Szczepan Orzech** w K.: Artykuł umieścimy, jakkolwiek jest on nieco jednostronny. Wychwalając pracę rolnika, nie można lekceważyć innych zawodów. To prawda, że bez rolnika, który żywi, nie mogłyby istnieć inne zawody, jak kowal, górnik, sędzia, nauczyciel, żandarm i t. p. Ale pytanie, czy rolnik mógłby istnieć bez tych innych? Ktoby mu zrobił pług, a kto buty, ktoby nauczył jego dzieci, a kto wydał wyrok w sporze z sąsiadem? Ktoby go bronił przed opryszkami? Kto i kto w nieskończoność. Ciężką i wydatną jest praca rolnika, ale są i inne prace równie ciężkie, a może jeszcze cięższe. Zdaje się niektórym, że „skrobanie piórkiem po papierze", to bagatela, ale niejeden z tych skrobiących wolałby ująć cepy w garść i młócić zboże od świtu do nocy dla siebie, na swój pożytek, a nie dla innych. — Cieszy nas bardzo, że jest Pan miłośnikiem „Roli" i za poparcie serdecznie dziękujemy. Niestety życzenia Pańskiego spełnić nie możemy. To, co Pan i jego znajomi uważają za błąd, inni, a tych jest olbrzymia większość, nazywają to zaletą. Tylko niechętni lub przeczuleni mają dobrą wymówkę. — **Franciszek Folta** w G.: Niestety, jeszcze nie do druku. Aby napisać dobry wiersz, trzeba przedewszystkiem znać elementarne zasady wierszowania. — **Katarzyna Jackiewicz** w B.: Drukujemy tylko wiersze oryginalne, specjalnie dla „Roli" napisane. Szarady, ułożone przez braciszka, dobre. — **Edward Cygan** w J.: Utwór konkursowy otrzymaliśmy. — **Nuśka Steuerówna** w K.: Owszem prosimy. Można codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt między 3 a 8. Będzie nam miło poznać naszą Przyjaciółkę. „Legenda" zbyt krótka na konkurs. A cóż paluszek? Do widzenia. — **Józef Rak** w H.: Otrzymaliśmy. — **Rudolf Hess** w K.: Teraz chłodniej, to nie tak łatwo zemdleć. — **Karolina Zaleska** w D.: Kochamy Czytelników naszych bardzo, ale Czytelniczki jeszcze bardziej, bo wiemy, że jak kobieta co naprawdę pokocha, to już tak do śmierci. A że Pani „Rolę" pokochała, to my Panią również. My, to jest Redakcja, Administracja, Ekspedycja, Drukarnia i ci wszyscy zresztą, którzy cokolwiek tylko mają do czynienia z wydawnictwem „Roli". Niech się Pani jednak nie przestrasza tym ogromem miłości, bo taka miłość, na tak wielką odległość (z pod Karpat aż nad Bałtyk) nie jest zbyt straszna. — **Aleksandra Kombińska** w Cz.: Numera nadliczbowe prosimy użyć na reklamę, to jest rozdać chętnym do czytania. W sprawie drugiej, to prosimy zawiadomić kartką. — **Michał Boczek** w L.: Nie znamy takiego zakładu, któryby moglibyśmy Panu polecić, ale radzimy Panu drogę ogłoszenia w „Roli". Może się trafić zakład, który właśnie z prowincji będzie potrzebował osoby. — **Walenty Fabian** w J.: Czemu Pan wcześniej nie napisał, że Pańska „Rola" pada ofiarą jakiegoś niszczyciela, któremu mało, że opaźnia, to jeszcze potarga. Wnieśliśmy skargę. — **Jan Wawra** w St. M. (Czechosłowacja): Nie będzie Pan „Roli" dla kogo innego prenumerował. Poradzimy na to. Odnieśliśmy się do dyrekcji poczt w Boguminie.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Maniewski z Dąb. W.).

■	☆	☆	☆	☆	■	Nazw. pew. miejsc.
☆	■	☆	☆	■	☆	2 p. l. mn. od nazwy
	☆	■	■	☆		Pora [wspól. rodz. żab.
	☆	■	■	☆		Imię męskie zdrob.
☆	■	☆	☆	■	☆	Wysokie zwierzę.
■	☆	☆	☆	☆	■	Zając.
	■	☆	☆	■	☆	Znak ognia.
	☆	■	■	☆		Nakrycie.
☆	☆	■	■	☆	☆	Rodzaj roślin.
	■	☆	☆	■		Przyrzeczenie.
■	☆	☆	☆	☆	■	Nazw. męża.
☆	■	☆	☆	■	☆	Ziemia.
	☆	■	■	☆		Imię żeńskie bez kreski
	☆	■	■	☆		Drzewo górskie.
	■	☆	☆	■		Rodzaj trunku.
■	☆	☆	☆	☆	■	Nazwa bibułek.

Litery zamiast kwadracików czytane z góry na dół dadzą imiona i nazwiska jednego poety i prozaika, których utwory czytamy w „Roli".

2. Szarady.

(Ułożył A. Czader z S.).

I.

Pierwsza w włoskim kraju, spojrzyj do [atlasu.
Każdy trzeci, pierwszy narobi hałasu;
Dowiesz się to z „Roli", wszystko opisuje.
Druga, trzecia, często rozbitka ratuje.
Którzy pierwsze drugie, w pożytecznej [sprawie,
Tych nosi potomność w pamięci i sławie.
Druga i część pierwszej, bardzo ładnie [kwitnie.
Całość zawsze wstrętna i nikt się jej nie [tknie.

II.

Gdy na rzece mosty stawiać zamierzają,
O pierwsze i drugie najprzód się starają.
Gdy coś trzecie czwarte nie szukaj go [w górze,
Bo nie znajdziesz nigdy, mówię ci to [szczerze.
Czwarte drugie w boku, zwykle przy bie- [ganiu.
Czwarta pierwsza miara bywa przy licze- [niu.
Całość zwyczajnie ma drzwiczki zawarte,
Zgadnij wszak nie jesteś drugie trzecie, [czwarte.

III.

W pierwszem drugiem trzeciem wiele zro- [bią ludzie
W rodzinie, w zawodzie, a zwłaszcza w na- [rodzie.
Choć im trzeci, czwarci na zawadzie stoją,
Nic się nie zrażają w wytrwałość się zbroją.
Drugie trzecie stoją w ziemi także w wodzie,
Drugie trzecie czwarte wszędzie dzisiaj [w modzie
W całość wpaść można przy nieostrożności
Zgadnij drugi czwarty, zaczerpnij mądrości.

IV.

Który pierwsze trzecie, swą duszę i zmysły,
Na nic mu się zdadzą szlachetne zamysły,
Drugie trzecie naród, kiedy jest w niewoli,
Lub człowiek męczony, gdy go bardzo boli,
Pierwszy i pół czwarty, tytuł dobrze znany.
Całość można widzieć czasem w rogu [ściany.

3. Przestawianka.

(Ułożył Wł Reichel).

ara, bak, but, gra, ile, jad, kpi, lud, łut, tok, tur.

Z powyższych słów wybrać po jednej literze i ułożyć znane przysłowie.

4. Bilet wizytowy.

(Ułożył Wł. Reichel).

Karolina Gigrat

Odgadnąć zajęcie tej osoby.

5. Zagadka.

(Ułożył Wł. Reichel).

Czy wprost, czy też wspak czytamy,
Zawsze duchownego mamy.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrody dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 13 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 43 „Roli": 1. Logogryf: Zmartwychwstanie Polski. 2. Szarady: Raport karny. Bassara. Furażerka. 3. Kwadrat magiczny: Wazon. Adela. Zenit. Oliwa. Natan. 4. Przestawianka: „Kobiety nie bij nawet kwiatem, Nie wolno, nie masz prawa! Czyś jej kochankiem, mężem, bratem, Kobiety nie bij nawet kwiatem". 5. Zagadka: Ojczyzna.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Gabrjel Wirstnik z Sz., J. Szymański z Cz., Edward Cygan z J. i „Yoga" z K.

Nagrody otrzymali pp.: Edward Cygan z J. i J. Szymański z Cz.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wielki Ilustrowany Kalendarz Powszechny

Do nabycia w Administracji „Roli". — Cena wraz z przesyłką pocztową 2 zł. 75 gr.

Do nabycia w Administracji „Roli" również WESOŁY KALENDARZ „Figielki" Cena zł. 1.40.

Pieniądze na kalendarz nadsyłane przekazami pocztowemi prosimy nadsyłać na konto pocztowe „Roli": 406.301 z dopiskiem „Na kalendarz".

Światło i cień.

— Co jest lepsze: kapitał bez żony, czy żona bez kapitału?

— I to złe i tamto niedobre. Kapitał bez żony to światło bez cienia, a żona bez kapitałów, to cień bez światła.



Szkocka oszczędność.

Szkoci są znani ze skąpstwa. Pewien Szkot, obłożnie chory od dłuższego czasu wybierał się na drugi świat. Żona jego przed wyjściem po sprawunki na targ, zapala gromnicę przy łóżku chorego męża, przyczem odzywa się:

— Wracam za chwilę. Ale gdybyś, broń Boże, miał w mojej nieobecności wyzionąć ducha, to przedtem zgaś gromnicę.

Daleki krewny.

— Pan ma krewnych?

— Ojca. Ale to mój daleki krewny.

—Jakże to może być?

— Bardzo prostym sposobem: ojciec mój mieszka w Egipcie, a ja w Warszawie.



Srebrne wesele.

— Marcinie, słuchajno! Od dziś za tydzień przypada nasze srebrne wesele. Możebyśmy na uroczystość świnię zabili?

— A to czemu? Cóż biedna świnia temu winna, że ja przed 25 laty takie głupstwo palnąłem.



W szkole.

Nauczyciel: Na co człowiek ma dwie ręce?

Icek: Jedną do dawania pieniądzów, drugą do odbierania procentów.

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli" wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I., II. i III-go kwartału po 2 zł. 60 gr. Prenumerata kwartału bieżącego kosztuje 3 zł. 40 gr.

Książki do nabożeństwa

Zbiorek Modlitw, Książka do nabożeństwa dla czcicieli Serca P. Jezusa, stron 512, oprawne 2 łz. 70 gr.

Przyjdź Królestwo Twoje, Książeczka do nabożeństwa dla młodzieży, stron 320. Oprawne w płótno 1·80 zł.

Ołtarzyk polskiego dziecka. Wybór modlitw i pieśni dla dzieci, stron 160, oprawne . . . . 1 zł. 30 gr.

Chwalcie dziatki Pana. Książeczka do nabożeństwa dla dzieci, stron 100, oprawne w płótno 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Administracji „Roli".

Giełda płodów rolniczych

z dnia 28 paźdz. b. r.

Pszenica .	50·50—51·50	Słoma długa	7·00—8·00
Żyto . .	00·00—00·00	Ziemniaki stoł.	8·00—8·50
Owies . .	38·00—39·00	Koniczyna na-sienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	40·00—41·00		
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	25·00—26·00
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	62·00—62·50
Groch zwyk.	00·00 00·00	Mąka pszen.	83·50—84·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę" w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli", mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Wyszła z druku broszurka p. t.

Ze strun duszy,
Z kwiatów polnych,
Z przędzy dymu.

zawierająca utwory poetyckie naszych współpracowników i przyjaciół »Roli« **Ireny Trzaskowskiej** z Łucka **Kachny Łęczynianki** i **Donata Lesiowskiego.** Cena egzemplarza 45 groszy wraz z przesyłką poczt. Do nabycia w Administracji »Roli«.

Nowe wydawnictwa.

„Kiedy Anhelli wstępował na Wawel“ napisał Robert Rydz. Przepiękny ten poemat powinien znaleźć się w każdej bibljotece. Do nabycia w Administracji „Roli“ lub u wydawcy. Cena 1 zł.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

OKŁADKI NA „ROLĘ“ twarde, mocne, gustownie wykonane z wybitym rokiem w cenie 2 zł. wraz z przesyłką pocztową wysyła Administracja „Roli“. Wysyłka następować będzie partjami po 25 sztuk.

Przy przesyłaniu pieniędzy należy zaznaczyć na co są przeznaczone.

Rozszerzajcie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.